

Lord Jim Josepha Conrada - wybór fragmentów

Rozdział 1

Brakował mu cal — może dwa — do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy siedział prosto na kogoś, patrząc nieruchomo spode łba, z pochylonymi nieco plecami i wysuniętą głową, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, donośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było nic agresywnego. Zdawało się, że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nie tylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, ubrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako agent okrętowego dostawcy, bardzo był popularny(...)

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był po prostu Jimem — i niczym więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniano.

Incognito Jima — dziurawe jak rzeszoto — miało ukrywać nie człowieka, lecz fakt. Kiedy ów fakt wychodził na jaw, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował, i udawał się do innego — zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego agenta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt doganiał go nieodwołalnie, wcześniej lub później. I tak w ciągu lat znano Jima kolejno w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawii — i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, agentem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił na zawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli — gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności — przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognito. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał ową wiedzę o Niewiadomym, stworzoną dla bogobojnych mieszkańców chat i niemącą spokoju ducha tym, którym nieomylna Opatrzność pozwala mieszkać w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości skałę za postrzępioną zasłoną z gałęzi. Stał na tym miejscu już od stuleci, a drzewa wokół niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny... Probostwo należało do rodziny już od pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacji — w czasie których naczał się lekkiej literatury — ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go od razu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej”.

Nauczył się tam brasowania górnych rei i trochę trygonometrii. Lubiano go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo, wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przy tym bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Miał stanowisko manewrowe na marsie przedniego masztu. Patrzył stamtąd często w dół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojne skupisko dachów, przecięte na dwoje brunatnym nurtem rzeki... Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach, sunące bez przerwy, małe czółenka hen, nisko pod stopami — a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, zawczasu przeżywając myślą życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach, szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnym morzu i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach — będąc zawsze wzorem obowiązkowości — niezłomny jak bohater z książki.

— Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieżaninę i krzyki, a gdy Jim wy dostał się przez luk, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagał się już od południa, zatrzymując ruch na rzece, i dał teraz z siłą huraganu; jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikwały, a od czasu do czasu odślaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty... Czuło się jakąś dziką celowość burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie, iż to wszystko zwraca się przeciw niemu, i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się, że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włożyli tłumnie na balustradę, czepiali się gromadnie żurawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział”. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakiejś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do bezki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru...

„Na dół kuter!” — Jim ujrzał łódź z ludźmi opadającą szybko, za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyc kuter!” Wychylił się za barierę. Rzeka wzdłuż statku wrzała pianistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr, które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równo, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równo!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wylamując się spod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Za późno, chłopcze”. Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który — zdawało się — już, już skoczy za burtę. Chłopiec spojrział na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji”.

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napełniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi miotanymi po belkach dna.

Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogrożkom. Teraz już wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Zdawało mu się,

że burza nic a nic go nie obchodzi. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to — lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra — chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkimi szarymi oczami — był bohaterem dolnego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

— Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiąż w jego spodniach; myślałem, że wypadnę za burtę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Simons puścił ster i złapał mnie za nogi — łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Simons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Klął na mnie przez cały czas, co mnie trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi puścić bosaka. Stary Simons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!”, i przewracał oczami. Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdlał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdłał, gdyby go dziabnął bosakiem? Ja bym tam nie zemdłał. Bosak wszedł mu w nogę — o tyle. — Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. — Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się lała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go zniecka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go raczej, że się nie dostał do kutra, skoro последний czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas — czuł to niezbitcie — on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych grózb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Oglądane chłodnym okiem wydawały mu się godne wzgardy. Nie mógł już w sobie wykryć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim — niezauważony przez nikogo i trzymający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków — rozkoszował się wzmożonym poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądy przygód.

Rozdział drugi

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał, że są dziwnie z przygód wyjałowione. Odbił wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonię istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje chleb — i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go omijała. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa jak życie na morzu. Poza tym przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki; i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczwszy nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, uwydatniają prawdziwe cechy jego usposobienia i rdzeń charakteru, które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami — nie tylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przebłysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość — to coś nieokreślonego, co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splot wypadków lub furia żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą, z rozpetanym okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem...

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!”) Jim został ugodzony spadającą reją; spędził wiele dni, leżąc na wznak, ogluszony, poturbowany, pełen zwątpienia i udręki, jakby na dnie niespokojnej otchłani.

Wszystko mu było jedno, jak się to skończy, a w chwilach przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; nie podsycana niczym wyobraźnia — wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy — układa się do spoczynku w duszy stępiełej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko rozgardiasz w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam, przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu nieposkromiony napad trwogi chwycił go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kocami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napędzała go rozpaczliwą żądzą, aby się za wszelką cenę ocalić. Potem wróciła piękna pogoda i więcej już o tym nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał iść do szpitala. Wracał do zdrowia bardzo powoli, przeto pozostawiono go w porcie(...)

Rozdział trzeci (Jim został oficerem na statku Patna)

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się słać na ziemię nie tylko pogodę swych promieni, ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka, niby płyta lodu, słało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokręgu.

Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron „Patny” dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostymi, rozchodzącymi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzburzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu; po czym uspokajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w cichość nieba i wody otaczającą w krąg czarną plamkę sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim, stojąc na mostku, płał się w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kocach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach,

zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne łachmany, z głowami wspartymi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętymi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia — wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci(...)

„Jak my spokojnie suniemy” — pomyślał Jim z podziwem, z czymś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepelnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem, porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem — bezgraniczną wiarą w siebie. Nie ma nic, czemu by nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął, patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć w tył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil okrętu, jak prosta była czarna linia narysowana ołówkiem na mapie(...)

Rozdział czwarty (Jim przed sądem opowiada o tym, co zdarzyło się na Patnie)

Mniej więcej w miesiąc później, gdy Jim odpowiadał na rzeczowe pytania, usiłując powiedzieć uczciwie prawdę o tym, co wówczas przeżył, wyraził się, mówiąc o statku:

— Przesunął się przez to coś tak łatwo jak wąż pełznący przez kij.

Porównanie było dobre; pytania dotyczyły faktów, a działo się to podczas urzędowego dochodzenia w sądzie do spraw karnych pewnego wschodniego portu. Jim stał z rozpalonymi policzkami na podwyższeniu przeznaczonym dla świadków, w chłodnej, wysokiej sali; wielkie ramy do *punkah* poruszały się łagodnie tam i z powrotem wysoko nad jego głową, a z dołu wiele oczu patrzyło na niego z ciemnych twarzy, z białych twarzy, z czerwonych twarzy, z twarzy uważnych, urzeczonych, jak gdyby wszyscy ci ludzie siedzący karnymi rzędami na wąskich ławkach byli spętani czarem jego głosu. A głos ten, bardzo donośny, brzmiał przerażająco w uszach Jima; był to jedyny głos słyszalny na świecie, bo okropnie wyraźne pytania, które wydzierały mu odpowiedzi, zdawały się kształtować same przez się w jego własnej piersi wśród udreki i bólu, a docierały do niego, dotkliwie i ciche, jak straszne pytania zadane przez sumienie. Na dworze jaśniało słońce — na sali sądowej był wiatr od wielkich *punkah*, który przejmował dreszczem, był wstyd, który palił ogniem, były uważne oczy, których wzrok przeszywał na wskroś. Wygolona twarz sędziego patrzyła niewzruszenie na Jima, śmiertelnie blada między czerwonymi twarzami dwóch asesorów...

Żądali faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cośkolwiek wytłumaczyć!

— Kiedy pan doszedł do wniosku, żeście się zderzyli z czymś pływającym po wodzie, powiedzmy z zalanym wodą wrakiem, dostał pan rozkaz od kapitana, aby pójść na dziób i upewnić się, czy statek nie został uszkodzony. Czy pan uważał to za możliwe, sądząc po sile zderzenia? — zapytał asesor siedzący z lewej strony...

— Nie, nie spodziewałem się tego — rzekł Jim. — Powiedziano mi, abym nikogo nie wołał i nie robił hałasu, żeby nie wzniecić paniki. Uznałem te ostrożności za słuszne. Wziąłem jedną z lamp, które wisiały pod płóciennym dachem, i poszedłem naprzód. Kiedy otworzyłem luk dziobowego skrajnika, usłyszałem plusk tam w środku. Wówczas spuściłem lampę na całą

długość liny i zobaczyłem, że w dziobowym skrajniku woda sięga wyżej niż do połowy. Wtedy już wiedziałem, że musi tam być wielka dziura pod linią wodną. — Umilkł na chwilę.

— Tak — powiedział olbrzymi asesor, uśmiechając się z rozmarzeniem do suszki; przebiegał nieustannie palcami, dotykając bezgłośnie bibuły.

— Nie myślałem wówczas o niebezpieczeństwie. Może byłem trochę zaskoczony tym wszystkim; stało się to tak spokojnie i tak bardzo nagle. Wiedziałem, że nie ma innej grodzi na statku prócz grodzi zderzeniowej, oddzielającej skrajnik dziobowy od wnętrza przedniego. Wróciłem, aby zawiadomić o tym kapitana. Natknąłem się na drugiego mechanika, który dźwigał się na nogi u stóp schodków mostkowych; wyglądał na ogłuszonego i powiedział mi, że złamał chyba lewą rękę; schodząc ze schodków, obsunął się z górnego stopnia, gdy ja byłem na dziobie. Wykrzyknął: „Wielki Boże! Zgniła gródź ustąpi lada chwila i ten parszywy gruchot pójdzie z nami na dno, jak kamień”.

Odepchnął mnie prawą ręką i krzyżąc, wbiegł przede mną po schodkach. Lewa ręka zwiślała mu u boku. Szedłem tuż za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił go na plecy. Nie uderzył go jednak; stał nad nim pochylony i mówił coś z gniewem, lecz zupełnie cicho. Pewnie pytał go, czemu, u diabła, nie pójdzie i nie zatrzyma maszyn zamiast drzeć się na cały pokład. Słyszałem, jak powiedział: „Wstawaj pan! Biegnij! Leć!”. Klął przy tym. Mechanik zsunął się po prawostronnych schodkach i obiegił wkoło luku świetlnego ku zejściu do maszynowni, które znajdowało się po lewej stronie. Biegł i jęczał...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystko w mig, z niezmierną wyrazistością; byłby mógł odtworzyć jak echo jęk mechanika dla lepszego poinformowania tych ludzi, którzy żądali faktów. Z początku bunt go ogarnął, ale potem doszedł do przekonania, że tylko drobiazgowa dokładność zeznań uwydatni prawdziwą grozę kryjącą się za okropnymi pozorami. Fakty, których ci ludzie tak pożąдали, były widoczne, dotykalne, dostępne dla zmysłów i zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie; wydarzyły się na tysięczterystatonowym parowcu w ciągu dwudziestu siedmiu minut wachty; składały się na całość mającą pewien charakter, subtelną wyrazistość, wygląd skomplikowany, który oko mogło zapamiętać — ale było tam coś jeszcze poza tym, coś niewidzialnego, jakiś władczy duch zagłady tkwiący wewnątrz jak nieprzyjazna dusza w obmierzłym ciele. Jim starał się usilnie to wszystko wyjaśnić. Nie była to zwykła historia, każdy jej szczegół miał wagę pierwszorzędną, a Jim na szczęście pamiętał wszystko. Pragnął mówić o tym wszystkim ze względu na prawdę, a może też i ze względu na siebie samego; i podczas gdy cedził rozważnie wyrazy, jego myśli po prostu latały i latały naokoło zacieśnionego kręgu faktów...

Rozdział ósmy

Jak długo Jim stał u luku bez ruchu, spodziewając się każdej chwili, że okręt zapadnie mu się pod nogami, a prąd wody zaleje go z tyłu i podrzuci jak wiór — tego nie umiem powiedzieć. Nie bardzo długo — może ze dwie minuty. Dwóch mężczyzn, których nie mógł dojrzeć, zaczęło sennie rozmawiać; doszedł go skądś dziwny odgłos szurających nóg.

Ponad tymi słabymi dźwiękami wisiała okropna cisza poprzedzająca klęskę, wisiało dręczące milczenie właściwe chwilom poprzedzającym katastrofę. Nagle przyszło Jimowi do głowy, że

może zdąży pobiec i poprzecinać wszystkie rejki od łożysk, aby łodzie mogły się utrzymać na powierzchni, gdy okręt pójdzie na dno.

„Patna” miała długi mostek; wszystkie łodzie były na górze, cztery z jednej strony i trzy z drugiej — najmniejsza z nich przy lewej burcie, prawie na jednej linii z osprzętem sterowym. Jim, wyraźnie zaniepokojony, czy mu uwierzę, zapewnił mnie, że przygotował je z największą starannością do natychmiastowego użytku. Znał swoje obowiązki. Sądzę, że pod tym względem był wcale dobrym oficerem.

— Uważałem zawsze, że trzeba być przygotowanym na najgorsze — rzekł, patrząc mi niespokojnie w twarz.

Kiwnąłem potakująco głową, zaznaczając, że zgadzam się z tą zdrową zasadą, i odwracając oczy od niepochwytnej ułomności tego człowieka.

Mówił mi dalej, iż ruszył z miejsca i biegł niepewnie. Musiał przestępować przez nogi, unikać potknięcia się o głowy. Nagle ktoś chwycił go z dołu za kurtkę i zrozpaczony głos przemówił spod jego łokcia. Jim trzymał w prawej ręce lampę; światło jej padło na zadartą ciemną twarz, której oczy błagały go razem z głosem. Otraskany z językiem krajowców, Jim zrozumiał słowo: woda, powtórzono kilkakrotnie z naciskiem w tonie modlitwy, prawie z rozpaczą. Szarpnął się, aby się wyswobodzić, i poczuł, że czyjeś ramię opasuje mu nogi.

— Ten drab uczeplił się mnie jak tonący — rzekł z przejęciem. — „Woda, woda!” Jakąż on wodę miał na myśli? Czy on co wiedział? Z całym spokojem, na jaki tylko mogłem się zdobyć, rozkazałem, aby mnie puścił. Zatrzymywał mnie; czas naglił, inni ludzie zaczęli się ruszać; a ja potrzebowałem czasu — czasu, aby poprzecinać więzy trzymające łodzie. Chwycił mnie teraz za rękę; czułem, iż zacznie krzyczeć! Błysnęło mi, że to by wystarczyło dla wywołania paniki; zamachnąłem się wolną ręką i rzuciłem mu lampę w twarz. Szkło brzękło, lampa zgasła, ale to uderzenie sprawiło, że mnie puścił; uciekłem — chciałem się dostać do łódek! Skoczył za mną. Rzuciłem się na niego. Nie myślał się uspokoić; usiłował krzyczeć; o mało go nie udusiłem, nim zrozumiałem, o co mu chodzi. Chciał trochę wody — wody do picia; wydzielali im skąpe racje, rozumie pan, a on miał z sobą młodego chłopca, którego przedtem kilka razy zauważyłem. Syn jego był chory i spragniony. Człowiek ów dojrzał mnie, gdy go mijał, i poprosił o trochę wody. To było wszystko. Staliśmy w ciemności pod mostkiem. Chwytał mnie ciągle za ręce; nie było sposobu go się pozbyć. Wpadłem do swojej kabiny, porwałem butelkę z wodą i wetknąłem mu ją do ręki. Znikł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo sam byłem spragniony.

Jim oparł się na łokciu i ocienił ręką oczy. Czułem, jak mi dreszcz zbiega po grzbiecie; w tym wszystkim było coś szczególnego. Palce ręki osłaniającej mu czoło drżały z lekka. Przerwał krótkie milczenie.

— Te rzeczy zdarzają się człowiekowi tylko raz w życiu i... Ale co tam! Kiedy wróciłem wreszcie na mostek, tamte draby usiłowały zdjąć łódź z łożyska. Łódź! Wbiegałem właśnie po drabinie, gdy silne uderzenie spadło mi na ramię, o włos od głowy. Nie zatrzymało mnie to, a główny mechanik — wyciągnięto go już podówczas z koi — znowu zamierzył się na mnie drążkiem od pokrowca. Byłem tak jakoś usposobiony, że niczemu się nie dziwiłem. Wszystko to wydawało mi się naturalne — i okropne... okropne. Wymknąłem się temu nędznemu wariatowi, podniosłem go z pokładu jak piórko, a on zaczął mi szeptać w ramionach: „Niechże mnie pan puści! Myślałem, że to nie pan, tylko jeden z tych tam

Murzynów”. Odrzuciłem go precz; potknął się na mostku i zbił z nóg tego małego faceta, drugiego mechanika.

Szyper, krzątający się koło łodzi, obejrzał się i zaczął iść na mnie ze spuszczoną głową, warcząc jak dzika bestia. Stałem w miejscu jak słup. Anim drgnął, jakbym był o, tym — stuknął z lekka kostkami palców w ścianę koło swego krzesła. — Zdawało mi się, że słyszałem to wszystko, widziałem to wszystko, przeszedłem przez to wszystko już dwadzieścia razy. Nie bałem się ich. Cofnąłem wyciągniętą pięść, a on zatrzymał się, mrużąc: „A to pan. Prędko, pomagaj pan”. Tak powiedział. Prędko! Jakby szybkość tu mogła coś znaczyć! „A co wy chcecie zrobić?” — zapytałem. „Zwiąć” — warknął przez ramię.

— Nie zdaje mi się, abym wtedy zrozumiał, co szyper miał na myśli. Tamci dwaj dźwignęli się tymczasem na nogi i pobiegli do łódki. Dreptali, sapali, popychali się, klęli na łódź, na okręt, na siebie — klęli na mnie. Wszystko szeptem. Nie ruszałem się wcale, nie mówiłem nic. Śledziłem pochylenie statku. Tkwił tak nieruchomo, jakby był osadzony na blokach w suchym doku, tylko że wyglądał tak: — Podniósł rękę dłonią w dół i pochylił palce. — O tak — powtórzył. — Widziałem przed sobą nad dziobem linię widnokregu jak na dłoni; widziałem hen daleko wodę czarną i błyszczącą, i cichą — cichą jak staw, śmiertelnie cichą, cichszą niż kiedykolwiek — tak cichą, że nie mogłem znieść jej widoku.

Czy pan kiedy śledził statek pochylony dziobem w dół, statek, któremu przeszkadza pójść na dno płyta starego żelaza, zżarta przez rdzę do tego stopnia, że nie można jej nawet podeprzeć? Był pan kiedy w takim położeniu? Aha, podeprzeć! Myślałem o tym — o czym ja wówczas nie myślałem! — ale czy można podeprzeć gródź w pięć minut — albo chociażby w pięćdziesiąt? Skąd wziąć ludzi, którzy by poszli tam na dół? A drzewo — drzewo? Czy byłby pan miał odwagę zamachnąć się młotem i uderzyć w gródź, gdyby pan przedtem ją widział? Niech pan nie mówi, że tak; nie widział pan jej; nikt by się na to nie odważył. Żeby taką rzecz zrobić, trzeba wierzyć, że to jest możliwe, do licha — że jest możliwość choćby jedna na tysiąc, że jest choćby cień nadziei; a temu by pan nie uwierzył. Nikt nie byłby temu uwierzył. Pan mnie uważa za psa, ponieważ tam stałem bez ruchu, ale co pan byłby zrobił na moim miejscu? Właśnie! Ani pan, ani nikt powiedzieć mi tego nie może. Na rozejrzenie się trzeba mieć czas, a co ja mogłem zrobić? Czy miałem dopuścić, żeby wszyscy ci ludzie, których przecież sam wyratować nie mogłem, których nic wyratować nie mogło — żeby ci ludzie poszaleli z trwogi? Proszę pana, tak jak tu na tym krześle przed panem siedzę...

Dyszał gorączkowo co kilka słów i rzucał na mnie szybko wzrokiem, jakby w udręce badał na mej twarzy wrażenie, które wywierał. Nie mówił do mnie, mówił tylko w mojej obecności, spierał się z jakąś niewidzialną osobistością, wrogim i nieodłącznym współnikiem swego istnienia — drugim właścicielem swej duszy. Wynik sporu był poza kompetencją sądu: ten spór o prawdziwą istotę życia, niezmiernie subtelny i doniosły, sędziego nie potrzebował. Jim pragnął sprzymierzeńca, pomocnika, współwinowajcy. Czulem, że grozi mi z jego strony podejście, obalamucenie, pułapka... — gdyż niepodobna było wymierzyć sprawiedliwości wszystkim zjawom gnieżdżącym się w duszy Jima: i szlachetnym, które miały swoje prawa, i niegodnym, które stawiały swoje wymagania. Nie umiem wam wytłumaczyć mych sprzecznych uczuć, wam, którzyście go nie widzieli i słyszycie jego słowa tylko z moich ust. Zdawało mi się, że mnie zmuszają do zrozumienia Niepojętego — a nie znam nic przykrzejszego od takiego uczucia...

Byłem pod wpływem Jima. Przyznaję się do tego, wyznaję to. Jego wypadek jest nieciekawy, mętny — wszystko, co chcecie: zgubiony młodzieniec, wśród miliona innych — ale jednak był to jeden z nas; jego przygoda miała równie małe znaczenie jak zatopienie mrowiska, a przecież tajemnicza postawa tego człowieka zaprzętała mnie tak bardzo, jak gdyby on był najwybitniejszą jednostką swego rodzaju, jakby niejasna prawda ukryta w jego głębi dość była doniosła, by wpłynąć na wyobrażenie ludzkości o samej sobie...

Marlow zatrzymał się, żeby tchnąć życie w zamierające cygaro; zdawało się, iż zapomniał doszczętnie o swym opowiadaniu, gdy nagle zaczął znowu:

- A Jim komplikował jeszcze sprawę przez to, że był taki prosty — ileż ten nieborak miał prostoty!... naprawdę, że mnie zdumiewał. Siedział tam i mówił: że tak, jak go widzę przed sobą, nigdy by się nie uląkł niczego — i wierzył w to w dodatku! Mówię wam, to było bajecznie naiwne — i niesłychane, niesłychane! Obserwowałem go skrycie, zupełnie jakbym podejrzewał, że chce mnie porządnie nabrać.

Był przekonany, iż mówiąc uczciwie — „uczciwie, rozumie pan!” — nie ma rzeczy, przed którą by się cofnął. Już kiedy był ot, takim, „zupełnie małym smykiem”, przygotowywał się do spotkania wszelkich trudności, jakie się mogą przydarzyć na lądzie i morzu. Przyznawał się z dumą do swej przeczności, obmyślał niebezpieczeństwa i obronę przed nimi, spodziewając się najcięższych prób, przeświadczony, że się z nich jak najlepiej wywiąże. Musiał wieść życie pełne egzaltacji. Czy możecie je sobie wyobrazić? Nieustanny szereg przygód, sława, zwycięski pochód naprzód — i głębokie poczucie własnej zaradności, które nie opuszczało go ani na chwilę. Zapamiętał się, mówiąc; oczy mu błyszczały; każde słowo zdradzało coraz wyraźniej całą jego niedorzeczność — a mnie serce ciążyło coraz dotkliwiej. Nie miałem najmniejszej ochoty do śmiechu i aby się nie uśmiechnąć, przybrałem niewzruszony wyraz twarzy. Jim zaczął przejawiać irytację. „Zawsze zdarza się to, czego człowiek nie oczekuje” — rzekłem pojednawczym tonem. Moja niewzruszoność wyrwała mu pogardliwe: „Et!” Pewno chciał dać przez to do zrozumienia, że żadna niespodzianka nie wytrąciłaby go z równowagi; chyba tylko coś niepojętego mogłoby zaszachować jego bezwzględna gotowość na wszystko. Został zaskoczony. Mruknął pod nosem przekleństwo na morze i niebo, na statek, na ludzi.

Wszystko go zdradziło! Został chytrze wciągnięty w pewnego rodzaju wzniosłą rezygnację, która nie pozwoliła mu nawet ruszyć palcem; a tymczasem tamci, zdający sobie jasno sprawę z położenia, pracowali w pocie czoła nad spuszczeniem łodzi, potracając się nawzajem. Coś się tam popsulo w ostatniej chwili. Zdaje się, że w pośpiechu doprowadzili jakimś dziwnym sposobem do tego, że boleć z przodu łożyska zaciął się na głucho; stracili resztę przytomności wobec tego fatalnego wypadku.

Ładny widok musiały przedstawiać te zapamiętałe wysiłki czterech drabów mozolących się na nieruchomym statku, który unosił się spokojnie na wodzie wśród ciszy śpiącego świata; starali się wyzyskać każdą chwilę w walce o oswobodzenie tej łodzi; pełzali na czworakach, dźwigali się z rozpaczą i ciągnęli, pchali, warcząc jadownicie na siebie, gotowi zabić, gotowi płakać; od skoczenia sobie nawzajem do gardła powstrzymywał ich tylko strach przed śmiercią, która stała spokojnie nad nimi jak nieugięty poborca o chłodnym spojrzeniu. O tak! to musiał być ładny widok. Jim widział to wszystko i mógł o tym mówić z pogardą i goryczą; a był dokładnie o wszystkim powiadomiony chyba za pomocą szóstego zmysłu, ponieważ przysięgł mi, że trzymał się cały czas na uboczu i nie spozjrzał ani razu na nich i na łódź — ani razu. A ja mu wierzyłem. Sądzę, że był zbyt pochłonięty śledzeniem niebezpiecznie

pochyłego statku — groźbą zagłady odkrytą wśród najzupełniejszego bezpieczeństwa — że urzekł go miecz wiszący na włosku nad jego romantyczną głową.

Jim stał z prawej strony mostka, odsunawszy się jak najdalej od walki o łódź — walki tajemnej niby spisek i toczącej się wśród wariackiego podniecenia. Tymczasem obaj Malaje pozostali u koła, trzymając ręce na szprychach. Wyobraźcie sobie aktorów tego — dzięki Bogu — wyjątkowego morskiego epizodu; czterech ludzi wprost oszalałych od gwałtownych, skrytych wysiłków i trzech przypatrujących się im w zupełnym bezruchu — ponad płóciennym dachem osłaniającym głęboką nieświadomość setek ludzkich istot wraz z ich znużeniem, marzeniami, nadziejami — istot zatrzymanych przez niewidzialną rękę na skraju zagłady. Bo że tak było, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; zważywszy na stan okrętu, uważam ów wypadek za jeden z najgorszych, jakie się mogą wydarzyć. Te draby u łodzi miały aż nadto powodów do wariowania ze strachu. Mówię szczerze; gdybym się tam znalazł, nie dałbym i złamanego szeląga, że okręt się utrzyma na powierzchni przez następną sekundę. A jednak unosił się wciąż na wodzie. Przeznaczeniem tych śpiących pielgrzymów było, aby dokonali swej wędrówki w goryczy — inny jakiś koniec był im sądzony. Zdawało się, że Wszechpotęga, w której miłosierdzie wierzyli, potrzebując jeszcze na chwilę świadectwa ich pokory na tej ziemi, spojrzała w dół, aby oceanowi dać znak: „Nie wolno!”

Ocalenie „Patny” byłoby dla mnie faktem absolutnie niepojętym, gdybym nie wiedział, do jakiego stopnia stare żelazo jest czasem wytrzymałe — równie wytrzymałe niekiedy jak duch ludzi, jakich się spotyka od czasu do czasu, ludzi zużytych do cna, lecz dźwigających wciąż ciężar życia.

Jednym z najdziwniejszych objawów w ciągu tych dwudziestu minut było według mnie zachowanie obu sterników. Należeli do gromady przeróżnych krajowców sprowadzonych z Adenu dla zeznań w czasie śledztwa. Jeden z nich, walczący z wielką nieśmiałością, bardzo był młody, a sądząc z jego gładkiej, żółtej, wesołej twarzy, można było myśleć, że jest jeszcze młodszy niż w rzeczywistości. Pamiętam doskonale, jak Brierly zapytał go przez tłumacza, co myślał w owej chwili, tłumacz zaś, zamieniwszy z nim kilka słów, zwrócił się do sądu z godną miną: „Mówi, że nic nie myślał”...

Pamiętał tylko to, że czuł się zupełnie bezsilny — ponieważ był sam jeden. Pozostawało mu tylko zatonać razem z okrętem. Czy warto było zakłócać ludziom spokój? I po co? Czekał bez słowa, stężyła w tej jednej myśli — w pewnego rodzaju bohaterskiej dyskrecji. Pierwszy mechanik przebiegł ostrożnie w poprzek mostku i pociągnął go za rękaw. „Chodź pan i pomóż! Na miłość boską, chodźże pan i pomóż!” Pobiegł do łodzi na palcach i wrócił natychmiast, żeby ciągnąć znów Jima za rękaw, błagając go i przeklinając zarazem.

— Zdawało się, że gotów mnie całować po rękach — rzekł Jim z wściekłością — a zaraz potem zaczął się pnieć i szeptać mi w twarz: „Gdybym miał czas, z rozkoszą bym łeb panu roztrzaskał”. Odepchnąłem go. Nagle chwycił mnie za szyję. Uderzyłem go, psiakrew. Biłem, gdzie popadło. „Nie chcesz się wyratować — ty piekielny tchórze?” — zaszlochał. Tchórze! Nazwał mnie piekielnym tchórzem! Cha, cha, cha, cha! Nazwał mnie — cha, cha, cha!...

Jim rzucił się w tył i dygotał ze śmiechu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie gorzkiego. Ten śmiech padł jak zaraza na paplaninę o osłach, piramidach, bazarach i tak dalej. Wzdłuż całej galerii, długiej i ciemnowej, głosy przycichły, blade plamy twarzy zwróciły się jednocześnie w naszą stronę i cisza stała się tak głęboka, że jasny dźwięk łyżeczki padającej na mozaikową posadzkę werandy zabrzmiał jak wątyły, srebrzysty krzyk.

Rozdział dziewiąty

Mówiłem w myśli: „Toń, przeklęty! toń!” — To były słowa, od których rozpoczął na nowo. Pragnął, żeby to się już raz skończyło. Zostawiono go w zupełnym spokoju i zwracał się tak w duszy do statku, złorzecząc mu, a jednocześnie widział sceny jakby wyjęte z nędznej komedii. Mordowali się wciąż nad tym bolcem. Szyper rozkazywał:

„Wleźcie pod spód i starajcie się łódź podnieść” — ale tamci nie chcieli. Rozumiecie — nie byłoby przyjemnie dać się zaskoczyć, leżąc na płask pod kilem łodzi, w razie gdyby okręt poszedł nagle na dno.

„A czemu to pan nie wlezie? pan jest najsilniejszy” — zaskomlał mały maszynista.

„*Gott-for-dam!*”

Jestem za gruby” — wykrztusił szyper z rozpaczą. Takie to było zabawne, że człowiek mógł umrzeć ze śmiechu. Stali przez chwilę beczynnienie; nagle główny mechanik podbiegł znów do Jima.

„Chodźże i pomóż! człowieku!”

Czyś ty oszalał, żeby odrzucać jedyny ratunek? Rusz się i pomóż! Patrz tam, patrz!”

Jim zwrócił się wreszcie w stronę rufy, gdzie tamten wskazywał z uporem maniaka. Ujrzał niemy, czarny szkwał, który już był pożarł jedną trzecią nieba. Wiecie, jak te szkwały pojawiają się w tamtych stronach o tej porze roku. Naprzód ściemnia się tylko widnokrąg; potem wznosi się chmura, nieprzenikniona jak ściana. Prosta krawędź mgły, obrzeżona mdłym, białawym połyskiem, nadbiega z południo-zachodu, połykając gwiazdy całymi konstelacjami; jej cień pędzi po wodzie i stapia morze z niebem w jedną otchłań ciemności. A wszędzie jest cicho. Ani grzmotów, ani wiatru, ani najłżejszego szmeru; błyskawic ni śladu. Potem w mrocznej nieskończoności pojawia się siny łuk; przebiegają nieliczne fale, które są niby rozkołysaną ciemnością, i nagle wichry i deszcz uderzają ze szczególnym impetem, jakby się przedarły przez jakąś twardą zaporę. Taka właśnie chmura zjawiała się, podczas gdy patrzyli. Tamci dopiero co ją spostrzegli i sądzili słusznie, że o ile w zupełnej ciszy „Patna” mogłaby jeszcze utrzymać się na wodzie przez parę minut, o tyle najłżejsze wzburzenie morza oznaczałoby jej natychmiastową zgubę. Pierwsze pochylenie statku na fali, która poprzedza wybuch takiego szkwału, byłoby także ostatnim; „Patna” zanurzyłaby się, a potem dałaby długiego, długiego nurka w dół — aż do samego dna. Stąd pochodził nowy napad strachu tych drabów, stąd ponowne błazeńskie wybryki, w których przejawiała się niezmierna odraza do śmierci.

— Było czarno, czarno — ciągnął Jim z ponurym spokojem. — Zakradło się to na nas z tyłu. Piekielna zmora! W głębi ducha musiałem chyba mieć jeszcze trochę nadziei. Nie wiem. Ale teraz już wszystko przepadło. Ogarnął mnie szal, gdy poczułem, że jestem przyłapany. Wściekałem się, jakbym wpadł w potrzask. Znalazłem się doprawdy w potrzasku! Pamiętam też, że noc była parna, bez najłżejszego powiewu.

Pamiętał to tak dobrze, iż teraz, siedząc na krześle, dyszał, zdawał się oblewać potem i dusić na moich oczach. Doprowadzało go to do szału — opowiadał dalej o sobie — ale przywiodło mu na myśl ową ważną przyczynę, która skierowała go na ten mostek — i o której natychmiast zapomniał. Chciał przecież poprzecinać więzy umacniające łodzie ratunkowe. Wyrwał z kieszeni nóż i zaczął ciąć, jakby nie widział nic, nie słyszał nic, nie znał nikogo na statku. Pomyśleli, że jest beznadziejnie uparty i narwany, ale nie śmieli się głośno sprzeciwić tej bezużytecznej stracie czasu. Kiedy skończył, powrócił na to samo miejsce, gdzie był przedtem. Został tam głównego mechanika, który wpił mu się w ramię, szepcząc tuż przy jego głowie, jakby chciał ugryźć go w ucho: „Ty durniu! Myślisz, że będzie choć cień nadziei, kiedy te wszystkie bestie znajdą się w wodzie? Przecież jak nic roztrzaskają ci głowę, dostając się do łódek!”

Łamał ręce u boku Jima, który nie zwracał na niego żadnej uwagi. Szyper suwał nerwowo nogami w miejscu i mamlął:

„Młotek! młotek! *Mein Gott!*

Przynieście młotek”.

Mały mechanik zaszlochał jak dziecko, ale mimo wszystko, mimo złamanej ręki, okazał się najmniejszym tchórzem z nich wszystkich; zdobył się rzeczywiście na odwagę i pobiegł do maszynowni, aby wykonać zlecenie. Nie była to fraszka, co trzeba przyznać bezstronnie. Według słów Jima, rozejrzał się przedtem rozpaczliwie jak człowiek osaczony, zajęczał żałośnie i poleciał.

W mig był z powrotem, wbiegł po drabinie z młotkiem w ręku i rzucił się od razu na ten bolec. Tamci odbiegli Jima natychmiast, aby mu pomóc. Jim słyszał stukanie młotka, a potem odgłos spadającego bolca. Łódź była wolna. Dopiero wtedy odwrócił się, aby spojrzeć — dopiero wtedy. Ale trzymał się z daleka — trzymał się wciąż z daleka. Chciał, abym wiedział, że trzymał się wciąż z daleka, że nie było nic wspólnego między nim a tamtymi ludźmi, którzy mieli młotek. Nic a nic! Jest bardziej niż prawdopodobne, że uważał się za odciętego od nich nieprzebytą zaporą, przeszkodą nie do pokonania, przepaścią bez dna. Nie mógł się od nich jeszcze dalej odsunąć — dzieliła ich już cała szerokość statku.

Nogi Jima jak gdyby wrosły w to odległe miejsce, a oczy były przykute do niewyraźnej grupy tamtych ludzi pochylonych w jedną stronę i miotających się dziwacznie we wspólnych katuszach strachu. Ręczna lampa, przywiązana do słupka nad stolikiem ustawionym na mostku — „Patna” nie miała kajuty nawigacyjnej na śródokręciu — rzucała światło na ich wyprężone ramiona, na wygięte w kabłąk, drgające plecy. Pchali łódź od dziobu; pchali ją w noc; pchali i już nie myśleli oglądać się na Jima. Machnęli na niego ręką, jakby doprawdy był zbyt odległy, zbyt beznadziejnie od nich odcięty i niewart życzliwego słowa, znaku lub spojrzenia. Nie mieli czasu oglądać się na jego bierne bohaterstwo ani czuć żądła jego powściągliwości. Łódź cofała się nagle, odtrącając ich w tył, bezradnych i przewracających się na siebie. Stali przez chwilę zbici z tropu, wymyślając sobie w dzikich szeptach najohydniejszymi wyzwiskami, jakie sobie tylko mogli przypomnieć, i zaczęli na nowo. Powtórzyło się to trzy razy. Jim opisywał mi wszystko z ponurą dokładnością. Nie uszedł mu ani jeden ruch z tych śmiesznych wysiłków.

— Brzydziłem się nimi. Nienawidziłem ich. Musiałem na to wszystko patrzeć — rzekł z prostotą, zwracając na mnie mroczne, czujne spojrzenie. — Czy był kto kiedy poddany takiej haniebnej próbie!

Ujął na chwilę głowę w dłonie, jak człowiek doprowadzony do szału przez jakąś niesłychaną obelgę. Tych rzeczy nie mógł wyjaśnić sądowi — a i mnie nawet; ale nie byłbym człowiekiem odpowiednim do słuchania jego zwierzeń, gdybym nie rozumiał, co znaczą od czasu do czasu pauzy między jego słowami.

W tym ataku na siłę jego ducha była szydercza celowość jakiejś złośliwej, nikczemnej zemsty; w jego męczarni było coś groteskowego — jakby los chciał go poniżyć, strojąc przed nim dziwaczne miny wobec zbliżającej się śmierci lub niesławy...

Powiedział mi, że gdy tylko zamykał oczy, błysk myśli ukazywał mu z niesłychaną wyrazistością tłum ciał wydanych śmierci. Kiedy znów oczy otworzył, widział mętnie walkę czterech ludzi, którzy zmagali się jak szaleni z upartą łodzią.

— Odskakowali od niej raz po raz, stali, besztając się nawzajem, i potem nagle rzucali się znów na nią gromadnie... Można było umrzeć ze śmiechu — zauważył ze spuszczonej oczami, po czym podniósł je na chwilę ze złowieszczym uśmiechem: — Powinno to być dla mnie źródłem wesołości na całe życie, jak mi Bóg miły! bo ten śmieszny widok nawiedzi mnie jeszcze nieraz przed śmiercią. — Spuścił znów oczy. — Widzę to i słyszę... Widzę to i słyszę — powtórzył po długiej przerwie, podczas której patrzył bezmyślnie przed siebie.

Ocknął się.

— Postanowiłem, że oczu nie otworzę — rzekł — i nie mogłem wytrzymać. Nie mogłem, i wszystko mi jedno, co kto o tym myśli. Niech przeżyją coś podobnego, nim zaczną mnie sądzić. Niech przejdą przez to i zachowają się lepiej ode mnie, niczego więcej nie żądam.

Za drugim razem otworzyłem w mig oczy, a także i usta. Poczułem, że statek się rusza. Pochylił lekko dziób i podniósł go ostrożnie, powoli, trwało to całą wieczność. Nie zdarzyło się to statkowi od wielu dni. Chmura popędziła naprzód i pierwsza fala zdawała się wędrować po morzu z ołowiu. Nie było życia w tym poruszeniu — a jednak ono zdołało wywrócić coś w mojej głowie. Co byliby pan zrobił? Pan jest siebie pewien, prawda? Co by pan zrobił, teraz, w tej oto minucie — gdyby pan poczuł, że ten tu dom się chwieje, że zachwiał się leciutko pod pańskim krzesłem? Skoczyłby pan! Na Boga! Dałby pan susa z miejsca, gdzie pan siedzi, i wylądowałby pan o tam, w tej kępie krzaków.

Wyciągnął szybko rękę ku nocy za kamienną balustradą. Siedziałem bez ruchu. Patrzył na mnie bardzo spokojnie i surowo. To było jasne: chciał mnie sterroryzować; musiałem siedzieć bez ruchu, aby się nie dać pobudzić do jakiegoś niewczesnego gestu lub słowa, które by mogło zaważyć w tej sprawie. Nie miałem ochoty na żadne ryzyko. Nie zapominajcie o tym, że siedziałem z nim twarzą w twarz, i doprawdy — tak bardzo każdego z nas mi przypominał, iż przez to stawał się niebezpieczny. Jeżeli zaś chcecie wiedzieć, to powiem wam chętnie, że nawet zmierzylem szybkim spojrzeniem odległość dzielącą mnie od ciemnej plamy przed werandą na środku trawnika. Jim przesadzał. Byłbym wyskoczył o kilka stóp bliżej — to jedyna rzecz, której jestem zupełnie pewien.

Myślał, że nadeszła ostatnia chwila, a jednak nie ruszał się wcale. Nogi jego były wciąż przyrośnięte do desek, choć myśli kłębiły mu się w głowie.

A przy tym właśnie w tej chwili spostrzegł, że jeden z ludzi przy łódce odstąpił nagle w tył, chwycił wyciągniętymi rękami powietrze, zachwiał się i osunął. Nie upadł właściwie, tylko siadł powolutku, skurczony, z plecami opartymi o bok luku do maszynowni.

— Taki wynędzniały człeczyna o wybladłej twarzy i strzępiastych włosach. Pełnił funkcję trzeciego mechanika — wyjaśnił Jim.

— Umarł — wtrąciłem. — Słyszeliśmy coś o tym w sądzie.

— Tak mówią — wyrzekł z ponurą obojętnością. — Nic o tym naturalnie nie wiedziałem. Miał słabe serce. Skarżył się już jakiś czas przedtem, że źle się czuje. Był wzburzony, spracował się przy tej łodzi. Diabli go wiedzą. Cha, cha, cha! Jasne było, że nie chciał jednak umierać. Zabawne, prawda? Słowo daję, naciągali go po prostu na samobójstwo. Naciągali go — ni mniej, ni więcej. Naciągali go na to, Bóg świadkiem! podczas gdy ja... Ach! gdybyż był się spokojnie zachował; gdybyż był ich posłał do diabła, kiedy przyszedli go wyrwać z koi, wówczas jak statek tonął. Gdybyż tak stał na boku, z rękami w kieszeniach, i tylko im wymyślał!

Zerwał się, potrząsnął pięścią, popatrzył mi w oczy i siadł z powrotem.

— Stracona sposobność, co? — szepnąłem.

— Dlaczego pan się nie śmieje? — rzekł. — To przecież kawał, który wylął się w piekle. Słabe serce! Żałuję czasem, że moje serce nie było słabe.

To mnie podrażniło.

— Żałuje pan? — wykrzyknąłem z głęboką ironią.

— Tak! czy pan tego nie rozumie? — zawołał.

— Czegóż to pan jeszcze nie będzie żałował! — rzekłem gniewnie.

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc wcale, o co mi chodzi. Ten pocisk minął go także, a Jim nie był człowiekiem, który by się troszczył o zbłąkane strzały. Słowo daję, za mało był podejrzliwy; partia nie była równa. Cieszyłem się, że mój pocisk się zmarnował — że Jim nie usłyszał nawet dźwięku cięciwy.

Oczywiście, nie mógł wówczas wiedzieć, że tamten człowiek nie żyje. Następna minuta — ostatnia minuta Jima na pokładzie — kłębiła się od wypadków i uczuć, które były w niego jak morze w skałę. Używam rozmyślnie tego porównania, ponieważ opierając się na jego relacji, zmuszony jestem wierzyć, że zachował przez ten czas dziwne złudzenie bierności, jakby sam nie był czynny, jakby uległ władzy piekielnych sił, które wybrały go na ofiarę swego żartu. Pierwszą rzeczą, z jakiej sobie zdał sprawę, był zgrzyt ciężkich żurawików, które się wreszcie obróciły za burtę — a hałas ten zdawał się przenikać z pokładu przez podeszwy do jego ciała i wędrować w górę po grzbiecie aż do ciemienia. Potem, gdy szkwał przybliżył się znacznie,

druga, cięższa fala podniosła bierny kadłub wśród groźnego kołysania, które zaparło oddech Jimowi, a jednocześnie paniczne krzyki przebiły mu jak miecz umysł i serce:

— Puszczajcie! Na miły Bóg, puszczajcie! Puszcząć! Statek tonie!

Zaraz potem liny przesunęły się po zgrzytających blokach, a pod płóciennym dachem sporo ludzi zaczęło mówić przerażonymi głosami.

— Jak się te łotry rozwrzeszczały, to mogły umarłych zbudzić — rzekł Jim. — Bezpośrednio po plusku łodzi, rzuconej dosłownie w morze, rozległy się głuche odgłosy gramolenia się w niej i tupania pomieszane z niewyraźnymi krzykami: „Odczepić! Odczepić! Pchnąć! Odczepić! Pchajcie! na miłość boską! szkwał nadciąga!...” — Jim usłyszał wysoko nad głową słaby szum wiatru i bolesny jęk gdzieś w dole. Jakiś głos zagubiony za burtą jął przeklinać hak od łańcucha.

Okręt zaczął brzęczeć na przodzie i rufie jak podrażniony ul; Jim, opowiadając mi to wszystko spokojnie — miał właśnie wtedy bardzo opanowaną twarz i głos, i postawę — rzekł zupełnie niespodziewanie:

— Potknąłem się o jego nogi.

— Mechanik przewrócił się na bok bardzo wolno, i to jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominam z pokładu — ciągnął dalej. — Wszystko mi było jedno, co ten człowiek robi. Wyglądało to, jakby wstawał, i myślałem naturalnie, że wstaje; spodziewałem się, że skoczy koło mnie przez poręcz i wpadnie do łodzi za innymi. Słyszałem ich tłukących się tam w dole; rozległ się głos, niby pocisk: „George!” Potem trzy głosy krzyknęły razem. Każdy z nich doszedł mnie oddzielnie: jeden beczał, drugi wrzeszczał, trzeci wył. Brrr! — Jim wstrząsnął się lekko; zobaczyłem, że się podnosi z wolna, jakby jakaś spokojna ręka wyciągała go z krzesła za włosy, powoli, póki nie wyprostował się w całej wysokości, a gdy kolana mu się wyprężyły, ręka puściła go i zachwiał się trochę na nogach. Była jakby okropna cisza w jego twarzy, w jego ruchach, nawet w jego głosie, kiedy powiedział: — Krzyknęli — i mimo woli nadstawiłem uszu, aby pochwycić widmo tego krzyku, który się rozlegnie natychmiast poprzez złudne wrażenie ciszy.

— Było ośmuset ludzi na tym statku — rzekł, przykuwając mnie do krzesła okropnym spojrzeniem bez wyrazu. — Ośmuset żywych ludzi, a oni krzyczeli na tego jednego, martwego, żeby skoczył i wyratował się. „Skacz, George! Skacz! Dalej! Skacz!” Stałem u burty z ręką na żurawiku. Byłem bardzo spokojny. Noc stawała się jak atrament. Nie było widać ani nieba, ani morza. Słyszałem łódź obijającą się o burtę: stuk, stuk; żaden inny odgłos nie dochodził z dołu przez chwilę, lecz statek pełen był gwaru. Nagle szyper zawył: „*Mein Gott!* Szkwał! Szkwał! Odepchnąć łódź!” Gdy deszcz zaczął szumieć i zerwał się wiatr, wrzasnęli znowu: „Skacz, George! Złapiemy ciebie! Skacz!” Okręt zaczął się powoli zanurzać; deszcz przewalał się po nim jak wzburzone morze; czapka zleciała mi z głowy; wpierało mi oddech do gardła. Usłyszałem — jakbym stał na szczycie wieży — jeszcze jeden dziki wrzask: „Geo-o-orge! No, skacze!” Statek zanurzał się coraz głębiej — dziobem naprzód — pode mną...

Podniósł z wolna rękę do twarzy i zdejmował z niej coś palcami, jakby go oblażała pajęczyna, a potem patrzył na swoją otwartą dłoń przez jakie pół sekundy, zanim mu się wyrwało:

— Skoczyłem... — zatrzymał się, odwrócił wzrok... — Tak mi się zdaje — dodał.

Jasnoniebieskie oczy Jima spojrzały na mnie żałośnie; stał przede mną niemy i obolały, a ja czułem, że mnie przygniata smutne poczucie bezsilnej, zrezygnowanej mądrości wraz z głęboką litością starca, który patrzy na dziecięcą klęskę, bezradny i ubawiony.

— Na to wygląda — mruknąłem.

— Nie byłem tego świadomy, pókim nie spojrział w górę — wyjaśnił Jim spiesznie.

Myślę, że to jest możliwe. Słuchałem go tak, jak się słucha małego, strapionego chłopczyka. Nie miał pojęcia, że skacze. To się tak jakoś stało. To się już nigdy nie powtórzy. Upadł połową ciała na kogoś i rozciągnął się w poprzek ławki. Zdawało mu się, że chyba wszystkie żebra z lewego boku ma połamane. Przekręcił się; zobaczył niewyraźnie okręt, z którego uciekł, wznoszący się nad nim, i czerwone boczne światło jaśniejące jak duży krąg wśród deszczu, jak ognisko na szczycie wzgórza widziane przez mgłę.

— Statek wydał mi się wyższy od muru; majaczył jak skała nad łódką... Zapragnąłem umrzeć! — krzyknął. — Nie mogłem już stamtąd wrócić. Było to, jakbym skoczył w studnię — w przepaść bez dna...

Rozdział trzynasty

— Jestem obecnie trzecim porucznikiem na „Victorieuse” (był to wówczas flagowy okręt francuskiej eskadry na Oceanie Spokojnym) — rzekł, odrywając plecy od ściany na parę cali, ażeby mi się przedstawić. Skłoniłem się lekko i powiedziałem, że dowodzę handlowym okrętem zakotwiczonym obecnie w Rushcutters' Bay. Oświadczył mi, iż go zauważył, taki ładny, niewielki statek. Mówił o nim po swojemu, bardzo uprzejmie, a obojętnie...

— Więc ten biedny chłopiec uciekł z tamtymi — rzekł spokojnie, z powagą.

Nie wiem, co mnie skłoniło do uśmiechu; o ile pamiętam, jedyny raz się wtedy uśmiechnąłem w związku z ową sprawą. Ale to proste stwierdzenie rzeczy brzmiało jakoś zabawnie po francusku.

— *S'est enfui avec les autres*

— powiedział porucznik. I nagle zacząłem podziwiać bystrość tego człowieka. Trafił od razu w sedno: wyłuskał jedyną rzecz, o którą mi chodziło. Miałem wrażenie, że zasięgam opinii znawcy o tym wypadku. Niewzruszony i dojrzały spokój Francuza upodabniał go do eksperta, który opanował faktami i dla którego ludzkie kłopoty są po prostu dziecinną zabawką.

— Ach, ci młodzi, ci młodzi! — rzekł pobłaźliwie. — A w gruncie rzeczy z tego się nie umiera.

— Z czego? — spytałem szybko.

— Ze strachu.

Wyjaśnił, o co mu chodzi, i pociągnął łyk ze szklanki. Spostrzegłem, iż trzy ostatnie palce ręki, na której miał bliznę, były sztywne i nie mogły się niezależnie od siebie poruszać, tak że podnosił szklankę nieporadnie.

— Człowiek zawsze się boi. Niech mówią, co chcą, ale... — Postawił niezgrabnie szklankę z powrotem. — Strach, strach — uważa pan — jest zawsze tutaj... — Dotknął piersi obok mosiężnego guzika, w tym samym miejscu, gdzie uderzył się Jim, zapewniając, że jego serce jest w porządku. Prawdopodobnie zrobiłem jakiś ruch przeczący, bo porucznik obstawał przy swoim:

— Tak, tak. Człowiek gada i gada, wszystko to bardzo pięknie; ale koniec końców, nie jest się mędrszym od pierwszego lepszego człowieka ani też odważniejszym. Odwaga! O to nietrudno. Wycierałem kąty (*J'ai roulé ma bosse*) — rzekł, używając tego wyrażenia z niewzruszoną powagą — po wszystkich częściach świata; znałem ludzi odważnych, i jak jeszcze! *Allez!* — Popił niedbale ze szklanki. — Na służbie, rozumie pan, odważnym być się musi, tego wymaga nasz zawód (*le métier veut ça*). Prawda? — odwołał się do mnie porozumiewawczo. — *Eh bien!* każdy człowiek, jeśli jest uczciwy *bien entendu*, wyzna, że przychodzi chwila, przychodzi taka chwila na najteższego z nas, przychodzi skądś taka chwila, kiedy się wszystko z rąk wypuszcza (*vous lâchez tout*). I trzeba żyć z tą prawdą, uważa pan? Przy pewnym zbiegu okoliczności strach przychodzi na pewno. Paniczny strach (*un trac épouvantable*). A nawet i dla ludzi, którzy tej prawdy nie uznają, strach jednakże istnieje, strach przed samym sobą. Bezwzględnie. Niech mi pan wierzy. Tak, tak... W moim wieku człowiek wie, co mówi, *que diable!*... — Wypowiedział to wszystko tak beznamiętnie, jakby przez niego mówiła oderwana mądrość, i zaczął z wolna kręcić wielkimi palcami, co spotęgowało jeszcze wrażenie wywołane przez jego obojętność. — To jest oczywiste, *parbleu!*

— ciągnął dalej — bo wbrew wszelkim postanowieniom wystarczy zwyczajny ból głowy albo niestrawność (*un dérangement d'estomac*), ażeby... Weźmy mnie na przykład, przetrzymałem różne próby. *Eh bien!* Ja, który do pana mówię, pewnego razu...

Wysączył resztę napoju i zaczął znów obracać palcami. — Nie, nie, od tego się nie umiera — wyrzekł ostatecznie, a kiedy się przekonałem, że nie ma zamiaru opowiadać dalej swego przeżycia, poczułem wielki zawód, tym bardziej że, rozumiecie, trudno było nalegać, aby się zwierzał. Siedziałem, milcząc, on także, i zdawało się, że to mu najbardziej dogadza. Nawet jego palce znieruchomiały. Wtem poruszył znowu wargami. — Tak to, tak — zaczął flegmatycznie. — Człowiek urodził się tchórzem (*l'homme est né poltron*). W tym cała trudność, *parbleu!* Inaczej byłoby zbyt łatwo. Ale przyzwyczajenie, konieczność, rozumie pan? oczy innych ludzi, *voilà!*

I człowiek daje sobie z tym radę. A jeszcze i przykład tych, którzy nie lepsi są od nas, a jednak trzymają się dzielnie...

Głos jego ucichł.

— Tamten młody człowiek (Jim) — niech pan to zauważy — nie miał żadnej z tych podniet, przynajmniej w owej chwili — rzekłem.

Podniósł brwi pobłaźliwie.

— Ja nie mówię, ja nic nie mówię. Młody człowiek, o którym rozmawiamy, mógł mieć najlepsze chęci, najlepsze chęci — powtórzył, sapiąc z lekka.

— Ciesz się, że pan patrzy na to wyrozumiale — rzekłem. — On był pod tym względem pełen najlepszych nadziei i...

Urwałem, gdyż porucznik zaszurał nogami pod stołem. Podciągnął ciężkie powieki. Mówię: podciągnął, bo żadne inne wyrażenie nie oddałoby spokojnej rozwagi tego ruchu, i nareszcie ujawnił mi się zupełnie. Patrzyły na mnie dwa małe kółka jak dwa drobne stalowe pierścienie otaczające czerń źrenic. Ten ostry wzrok, w połączeniu z masywnym korpusem porucznika, robił wrażenie niezmiernie sprawności, jak berdysz wyostrzony na kształt brzytwy.

— *Pardon* — rzekł Francuz z wyszukaną uprzejmością. Podniósł prawą rękę i pochylił się naprzód. — Niech mi pan pozwoli... Twierdziłem, że można bardzo dobrze sobie radzić, choć się wie, że odwaga sama z siebie nie przychodzi. Nic w tym znów nie ma takiego, co by mogło wytrącić człowieka z równowagi. Jedna prawda więcej nie powinna życia uniemożliwiać... Ale honor, honor, proszę pana... Honor!... To, to jest rzeczywiste, to, to naprawdę istnieje! A co życie może być warte, jeśli... — porwał się na nogi gwałtownie i ciężko, niby spłoszony wół gramolący się z trawy — ...jeżeli honor jest stracony, nie mogę się co do tego wypowiedzieć, ponieważ, *monsieur*, ja o tym nic nie wiem.

Wstałem również; usiłowaliśmy obaj przybrać jak najuprzejmiejszą minę, stojąc niemo naprzeciw siebie jak dwa porcelanowe pieski na kominku. A niechże go! Przekłuł bańkę mydlaną. Tchnienie jałowej pustki, która czyha na ludzkie wywody, powiało na naszą rozmowę i przemieniło ją w puste dźwięki.

— Bardzo pięknie — rzekłem z zakłopotanym uśmiechem — więc może rzecz sprowadza się do tego, by... nie wyszła na jaw?

Miałem wrażenie, jakby chciał odciąć mi się natychmiast, lecz zmienił zdanie, nim jeszcze zaczął mówić.

— To, proszę pana, jest dla mnie za subtelne, to mnie przerasta, ja o takich rzeczach nie myślę.

Skłonił się ciężko nad czapką, którą trzymał przed sobą za daszek między wielkim i wskazującym palcem okaleczonej ręki. Skłoniłem się również. Kłanialiśmy się jednocześnie; szurgaliśmy nogami bardzo ceremonialnie jeden przed drugim, a brudny kelner przyglądał się nam krytycznie, jakby za to przedstawienie zapłacił.

Szklane drzwi zamknęły się za jego szerokimi plecami.

Widziałem, jak południowy wicher porwał go i pchał przed sobą; Francuz trzymał rękę u głowy i napręzał ramiona, a poły munduru oblepiały mu się naokoło nóg.

Siadłem z powrotem, samotny i zniechęcony, do sprawy Jima. Jeśli się dziwicie, że po trzech latach jego dzieje nie straciły dla mnie aktualności, to muszę wam powiedzieć, że właśnie wówczas dopiero co z nim się widziałem. Przybyłem prosto z Semarangu, gdzie brałem ładunek dla Sydney; była to mała zajmująca transakcja, którą obecny tu Karolek nazwałby jednym z mych rozsądnych posunięć. Otóż w Semarangu widywałem się z Jimem od czasu od czasu. Był zatrudniony wtedy u De Jongha, któremu go poleciłem. Pracował jako agent

handlowy. „Mój przedstawiciel na wodzie”, jak go De Jongh nazywał. Nie można sobie wystawić życia bardziej pozbawionego wszelkiej pociechy, bardziej wyczerpującego z najdrobniejszej iskierki świetnych pozorów, chyba tylko zajęcie agenta od ubezpieczeń.

Mały Bob Stanton, obecny tu Karolek znał go dobrze, spełniał czas jakiś czynności takiego właśnie agenta. To ten sam Bob Stanton, który potem utonął, próbując wyratować pannę służącą podczas zatonięcia „Sephory”. Pamiętacie może — taki wypadek zderzenia mglistym rankiem niedaleko brzegu hiszpańskiego. Wszyscy pasażerowie zostali sprawnie porozmieszczani w łodziach i odwiezieni dobry kawał od statku, kiedy Bob wrócił i wlaź znowu na pokład po tę dziewczynę. Nie umiem powiedzieć, jakim sposobem ją zostawiono; w każdym razie oszalała zupełnie ze strachu, nie chciała opuścić statku, trzymając się poręczy niby kleszczami. Z łodzi widać było dokładnie, jak się mociują z Bobem, ale biedak był najmniejszy wzrostem ze wszystkich oficerów w marynarce handlowej, a ta kobieta miała pięć stóp dziesięć cali i była podobno silna jak koń. Szamotali się to w jedną, to w drugą stronę, nieszczęsna dziewczyna wrzeszczała bez przerwy, a Bob od czasu do czasu krzyczał na swoich ludzi, żeby się trzymali w porządnej odległości od statku. Jeden z majtków mówił mi potem, kryjąc uśmiech na to wspomnienie:

— Dalibóg, panie kapitanie, wyglądało to, jakby niegrzeczny malec bił się ze swoją matką. — Ten sam stary majtek opowiadał mi innym razem: — W końcu: zobaczyliśmy, że pan Stanton przestał ciągnąć dziewczynę, tylko stał i patrzył na nią, jakby jej pilnował. I ot, co przyszło nam potem na myśl: pewnie liczył na to, że prąd wody oderwie ją od poręczy i umożliwi mu ratunek. Nie odważyliśmy się zbliżyć do okrętu; po krótkiej chwili poszedł nagle na dno, przechyliwszy się na prawą burtę — chlup! Woda wessała wszystko ze straszliwą siłą. Nie widzieliśmy, aby coś żywego lub martwego wydostało się na powierzchnię.

Zdaje się, że krótki pobyt biednego Boba na wybrzeżu był wynikiem miłosnych komplikacji. Bob cieszył się nadzieją, iż skończył z morzem raz na zawsze, i był przekonany, że największe szczęście na ziemi stało się jego udziałem, tymczasem skończyło się na tej agenturze od ubezpieczeń. Jakiś jego kuzyn z Liverpoolu wsadził go do tego interesu. Bob opowiadał nam często swoje doświadczenia na tym polu. Tak nas rozśmieszał, że w końcu zawsześmy się popłakali. A Bob, wcale zadowolony z wywołanego wrażenia, stał między nami, mały, z brodą po pas, podobny do krasnoludka, i mówił, podnosząc się na czubki palców:

— Dobrze wam się śmiać, szelmy, ale mówię wam: po tygodniu takiej roboty nieśmiertelna dusza kurczy się w człowieku jak zeschnięte ziarno grochu.

Nie wiem, jak dusza Jima przystosowała się do nowych warunków życia, zanadto mnie zaprzętało wynalezienie dla niego zajęcia, które by mu zapewniło jaką taką egzystencję, ale nie wątpię, że jego bujna wyobraźnia cierpiała straszne męki głodu. Z całą pewnością nie miała się czym pożywić w tym jego nowym zawodzie.

Boleśnie było patrzeć na Jima przy tej pracy, choć trzeba przyznać z uznaniem, że odwał ją z upartą pogodą. Patrzyłem, jak się mozolił nad nędzną robotą, i zdawało mi się, że to jest kara za bohaterские rojenia jego imaginacji, pokuta za pożądanie chwały, której nie był w stanie udźwignąć. Zanadto się rozmyślał w wyobrażaniu sobie, że jest wspaniałym wyścigowcem, a teraz został skazany na niezaszczytny znój jak szkapa wozivody. Wykonywał bardzo dobrze swe obowiązki. Zamknął się w sobie, spuścił głowę, nie poskarżył się nigdy ani słowem. Bardzo to było piękne, doprawdy, wyjąwszy niektóre fantastyczne i

gwałtowne wybryki przy tych nieszczęsnych okazjach, kiedy nie poskromiona historia „Patny” wypływała na wierzch. Ten skandal ze wschodnich wód nie dawał się niestety pogrzebać. I właśnie dlatego nie mogłem mieć poczucia, że na dobre skończyłem z Jimem.

Siedziałem więc po odejściu francuskiego porucznika, myśląc o Jimie, ale rozpamiętywania moje nie były związane z chłodnym, ponurym pokojem przy sklepie De Jongha, gdzieśmy niedawno zamienili pośpieszny uścisk ręki. Wspomniałem, jak siedzieliśmy sam na sam przed kilku laty na długiej werandzie hotelu „Malabar”; świeca rzucała ostatnie błyski, a za plecami Jima był chłód i mrok nocy. Dostojny miecz ojczystego prawa wisiał nad jego głową. Jutro — a może już dzisiaj? — (było dobrze po północy, nimeśmy się rozeszli) sędzia pokoju o marmurowej twarzy ukarze grzywnami i więzieniem winnych ze sprawy o napad i pobicie, a potem wzniesie straszną broń i uderzy w pochylony kark Jima. Ta nasza nocna rozmowa przypominała dziwnie ostatnią noc spędzoną ze skazańcem. Przecież Jim naprawdę zawinił. Powtarzałem to sobie raz po raz: zawinił i był człowiekiem zgubionym; a jednak pragnąłem mu oszczędzić szczegółów formalnej egzekucji. Nie będę tu wyjaśniał dlaczego, zresztą chyba bym nie potrafił; ale jeśli nie orientujecie się jeszcze w tym wszystkim, to albo moje opowiadanie było bardzo niejasne, albo też wy zbyt senni, by uchwycić treść moich słów.

Ani myślę bronić swej moralności. Nie było moralności w porywie, który mnie skłonił do przedstawienia Jimowi planu Brierly'ego, planu ucieczki, w całej jego, że tak powiem, prymitywnej prostocie. Miałem te rupie przy sobie, w kieszeni, gotowe do jego użytku. Och, to tylko pożyczka, naturalnie, że pożyczka; a może przydałby się Jimowi list polecający do mego znajomego (w Rangunie), który by mógł mu wynaleźć jakieś zajęcie... Ależ z największą przyjemnością! Mam pióro, atrament i papier w pokoju na pierwszym piętrze. I w chwili gdy to mówiłem, zapragnąłem natychmiast ten list napisać: dzień, miesiąc, rok, druga trzydziści nad ranem... W imię naszej dawnej przyjaźni proszę cię o wynalezienie jakiegoś zajęcia dla p. Jamesa takiego a takiego, który... itd., itd. W tym sensie byłem gotów o Jimie pisać. Jeśli nie zdobył sobie całej mojej sympatii, to uzyskał coś więcej, dotarł do samego dna, do źródła tego uczucia, do tajnej wrażliwości mego egoizmu. Nic przed wami nie ukrywam, bo w przeciwnym razie wydałbym się wam bardziej niezrozumiały, niż sobie człowiek na to może pozwolić; po wtóre — jutro i tak zapomnicie i moją szczerość, i wszystkie inne lekcje przeszłości. W tej sprawie, mówiąc brutalnie i jasno, ja byłem człowiekiem bez skazy; lecz subtelna niemoralność mych zamiarów została pokonana przez moralną prostotę przestępcy. Bez wątplenia Jim był też samolubny, ale jego samolubstwo miało szlachetniejsze źródło, wyższy cel. Przekonałem się, że bez względu na wszystkie moje argumenty Jim pragnął być obecny przy obrzędzie egzekucji; toteż nie mówiłem z nim wiele na ten temat, gdyż czułem, że jego młodość będzie potężnym przeciw mnie argumentem: on wierzył w to, o czym ja już nawet wątpić przestałem. Było coś pięknego w szaleństwie jego nie wyrażonej, ledwie skryzalizowanej nadziei.

— Uciec! Nawet myśleć o tym nie mogę — rzekł, potrząsając głową.

— Proponuję panu coś, za co nie żądam ani nie oczekuję żadnej wdzięczności — rzekłem — odda pan dług, kiedy panu będzie wygodnie, i...

— Strasznie pan jest dobry — mruknął, nie podnosząc oczu.

Śledziłem go bacznie; jakże niepewnie musiała mu się przedstawiać przyszłość; ale nie ugiął się, jakby rzeczywiście serce miał wytrzymałe na wszystko. Poczułem gniew, zresztą nie po raz pierwszy tej nocy.

— Sądzę, że ta cała nędzna historia — rzekłem — już i tak dość jest gorzka dla takiego jak pan człowieka...

— O tak, o tak — szepnął po dwakroć z oczami wbitymi w podłogę.

To było rozdzierające. Twarz jego górowała nad światłem; widziałem puch na jego policzku i ciepły kolor rumieńca pod gładką skórą. Możecie mi wierzyć lub nie wierzyć, twierdzą, że to było rozdzierające. Pobudziło mnie do brutalności.

— Aha — rzekłem — więc niech mi pan pozwoli wyznać, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakiego pożytku pan się spodziewa po tym babraniu się w błocie.

— Pożytku! — wyszeptał z głębi swego milczenia.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, o co panu chodzi — rzekłem z wściekłością.

— Usiłowałem panu powiedzieć wszystko, co o tym myślę — rzekł powoli, jakby rozmyślając o czymś, co się nie da wyrazić. — Ale ostatecznie to przecież jest moja sprawa.

Otworzyłem usta, aby mu się odciąć, i nagle przekonałem się, że tracę do siebie całe zaufanie; a i on także jakby machnął na mnie ręką, gdyż pomrukiwał niby człowiek, który na wpół głośno rozmyśla...

— Poszli sobie... poszli do szpitala... Żaden z nich nie chciał stawić temu czoła... Cóż to za... — poruszył z lekka ręką, aby zaznaczyć swoją pogardę. — Ale ja muszę przejść przez to, nie wolno mi się od tego wykręcać, bo inaczej... Nie będę się uchylał od niczego...

— Mam wrażenie, że pan mnie nie rozumie — rzekł dobitnie i dodał, patrząc na mnie nieugięte: — Mogłem skoczyć, ale uciekać nie będę.

— Nie chciałem pana obrazić — rzekłem. — I lepsi od pana uważali czasem ucieczkę za wskazaną — zakończyłem w idiotyczny sposób.

Pokrył się rumieńcem, a ja w zmieszaniu o mało co się nie udławiłem własnym językiem.

— Może i tak — rzekł w końcu — widać do nich nie dorosłem; nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem obowiązany walczyć z tym do ostatka i walczę... *teraz*.

Wstałem z krzesła i poczułem, że członki zupełnie mi zeszywniały. Chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, nie potrafiłem wymyślić nic lepszego od uwagi wypowiedzianej lekkim tonem:

— Nie miałem pojęcia, że już tak późno.

— Myślę, że pan ma tego wszystkiego dosyć — rzekł szorstko — a mówiąc szczerze — zaczął się rozglądać za kapeluszem — to i ja także.

Więc odrzucił tę jedyną propozycję. Odrzącił moją pomocną dłoń; był teraz gotów do odejścia, a za balustradą noc zdawała się nań czekać bardzo spokojnie, jakby był przeznaczoną dla niej zdobyczą... Oddalił się w końcu. Noc wchłonęła jego postać. Słyszałem

szybki zgrzyt żwiru pod jego stopami. Biegł. Dosłownie biegł — i nie wiedział, dokąd się udać. A miał niespełna dwadzieścia cztery lata(...)

Rozdział osiemnasty

W sześć miesięcy później dostałem list od mego przyjaciela, który posiadał łuszczarnię ryżu (był to kawaler w więcej niż średnim wieku, cynik o reputacji dziwaka); poleciłem mu Jima bardzo gorąco, więc też chciał mi zrobić przyjemność i rozwodził się szeroko o jego doskonałościach. Jim posiadał zalety, które się nie rzucały w oczy, ale były niezawodne. Przyjaciel mój pisał:

„Nie mogłem dotychczas zdobyć się na nic więcej ponad zrezygnowaną pobłażliwość dla przedstawicieli rodzaju ludzkiego i dlatego mieszkam samotnie w domu, który nawet w tym parnym klimacie można uważać za zbyt obszerny dla jednego człowieka. Już od jakiegoś czasu prosiłem Jima, aby ze mną zamieszkał. Zdaje mi się, że robiąc mu tę propozycję, postąpiłem właściwie”.

Czytając ten list, odniosłem wrażenie, iż mój przyjaciel znalazł w swym sercu coś więcej niż wyrozumiałość dla Jima, że to był początek istotnego przywiązania. Oczywiście wyjaśniał mi w charakterystyczny dla siebie sposób przyczynę tego uczucia. Po pierwsze, Jim w tamtym klimacie nie tracił wcale na świeżości.

„Gdyby był młodą panną — pisał mój przyjaciel — można by powiedzieć, że kwitnie, kwitnie skromnie jak fiołek, nie zaś jak niektóre z tych jaskrawych kwiatów podzwrotnikowych. Jest już u mnie w domu od sześciu tygodni, a dotychczas ani razu nie usiłował poklepać mnie po plecach albo powiedzieć do mnie »mój stary«, albo dać mi odczuć, że jestem przedpotopowym wykopaliskiem. Nie ma w nim ani trochę nieznośnej gadatliwości młodego chłopca. Odznacza się miłym charakterem, niewiele ma do powiedzenia i Bogu dzięki wcale nie jest sprytny”.

Zdaje się jednak, że Jim był dość sprytny na to, aby przejawiać w spokojny sposób uznanie dla dowcipu gospodarza, z drugiej zaś strony bawił go swą naiwnością.

„Życie jeszcze z niego nie starło puchu, a odkąd miałem szczęśliwą myśl, aby dać mu pokój w swym domu i zaprosić go do stołu, czuję się sam odświeżony. Któregoś dnia przyszło mu do głowy przejść przez pokój po prostu w tym celu, żeby otworzyć przede mną drzwi; już od lat nie czułem się tak blisko zespolony z ludzkością. Czy to nie śmieszne? Domyślam się naturalnie, że on ma coś poza sobą, jakąś okropnie przykrą historię, o której ty wiesz wszystko; ale gdybym nawet był pewny, że to coś szkaradnego, sądzę, że można by mu to wybaczyć. Co się mnie tyczy, oświadczam, że nie umiem sobie wyobrazić, aby popełnił coś gorszego od obrabowania sadu. Czy to coś daleko gorszego? Może powinienes mi być o tym powiedzieć; ale upłynęło już wiele lat, odkąd staliśmy się obaj świętymi, i mogłeś zapomnieć, że i my także grzeszyliśmy w swoim czasie. Przyjdzie pewno dzień, kiedy będę musiał o to zapytać, a wówczas liczę na to, że mi odpowiesz. Nie chciałbym go sam wypytywać, póki nie mam pojęcia, co to takiego. Zresztą jest jeszcze za wcześnie. Niech jeszcze parę razy drzwi przede mną otworzy...”

Tyle co do mego przyjaciela. Ucieszyłem się potrójnie: z obiecującego sprawowania się Jima, z tonu listu, z mej własnej przemyślności. Wiedziałem widać, co robię. Umiałem przejrzeć na wskroś charaktery tych ludzi — i tak dalej. A może wyniknie stąd jakaś rzecz niespodziana i

cudowna? Owego wieczoru, spoczywając na leżaku pod płóciennym dachem na rufie mego statku, było to w porcie Hong-kong, położyłem kamień węgielny pod zamek na lodzie — na intencję Jima.

Odbyłem podróż na północ, a po powrocie zastałem znów czekający na mnie list od przyjaciela. Otworzyłem go natychmiast.

„Nie brakuje mi łyżeczek, o ile wiem — brzmiały pierwsze słowa — za mało mnie to interesuje, aby sprawdzać. Jim odszedł, zostawiając na stole zastawionym do śniadania banalną kartkę z przeprosinami, która jest albo głupia, albo bez serca. Prawdopodobnie i jedno, i drugie, co mnie nic nie obchodzi. Pozwól sobie powiedzieć na wypadek, gdybyś miał w zapasie więcej takich tajemniczych młodzieńców, że skończyłem z tym bezwzględnie i raz na zawsze. To już ostatnie dziwactwo, jakie mam na sumieniu. Nie wyobrażaj sobie przypadkiem, aby mnie to obeszło, ale jego partnerzy z tenisa bardzo żałują, że go już nie ma; przez wzgląd na siebie samego musiałem opowiedzieć w klubie jakieś prawdopodobne kłamstwo...”

Rzuciłem list i zacząłem grzebać w stosie kopert na stole, póki nie natrafiłem na pismo Jima. Czy dacie wiarę? Wydarzyła się jedna możliwość na sto! Ale zawsze się ta setna wydarzy. Otóż ów mały drugi mechanik z „Patny” zjawił się tam w dość opłakanym stanie i dostał w łuszczarni chwilowe zajęcie przy pilnowaniu maszyn.

„Nie mogłem znieść poufałości tego łajdaka — pisał do mnie Jim z portu położonego siedemset mil na południe od miejsca, gdzie powinien był się czuć jak w raj. — Jestem chwilowo w firmie Egström i Blake, dostawców okrętowych, jako ich, no, po prostu goniec, nazywając rzecz po imieniu. Powołałem się na pana, gdyż znają pana oczywiście, a gdyby pan zechciał do nich słówko o mnie napisać, zatrzymaliby mnie na stałe”.

Uczułem się zmiażdżony pod ruinami mego zamku, ale naturalnie napisałem list, którego Jim żądał. Przed końcem roku nowy kontrakt zaprowadził mnie w tamte strony i miałem znów sposobność zobaczyć się z Jimem.

Był jeszcze ciągle w firmie Egström i Blake; spotkaliśmy się w tak zwanym „salonie”, którego drzwi wychodziły na sklep. Jim wrócił był właśnie z wyprawy na jakiś okręt i stanął przede mną ze spuszczoną głową, gotów do walki.

— Co pan ma na swoje usprawiedliwienie? — zacząłem natychmiast po przywitaniu.

— To, co panu napisałem, nic więcej — rzekł z uporem.

— Tamten drań wypaplał czy co? — zapytałem.

Jim spojrzał na mnie z niepewnym uśmiechem.

— Ach nie, nic podobnego. Ale uważał, że jesteśmy związani czymś w rodzaju poufnego porozumienia. Przybierał wściekle tajemniczą minę za każdym razem, kiedym przyszedł do młyna, i mrugał do mnie z szacunkiem, jakby chciał powiedzieć: „Już co my wiemy, to wiemy”. Łasił się z ohydą poufałością, i tak dalej. — Jim rzucił się na krzesło, patrząc na swoje nogi. — Zdarzyło się raz, że zostaliśmy sami, i ten człowiek miał bezczelność mi powiedzieć: „No, panie James (nazywano mnie tam panem Jamesem, jakbym był synem

domu), znowuśmy się zesзли. Lepiej tu niż na tamtym starym statku, co?” Czyż to nie było okropne? Spojrzałem na niego, a on przybrał znaczącą minę. „Niechże pan będzie spokojny — mówił dalej — ja od razu poznaję prawdziwego pana, dość mi raz spojrzeć, i wiem także, co prawdziwy pan czuje. Ale mam nadzieję, że pan mnie zatrzyma tu, przy tej robocie. Ja też przeszedłem porządne cięgi po awanturze o tę starą, parszywą »Patnę«”. To było straszne — ciągnął Jim. — Nie wiem, co bym był wówczas powiedział lub zrobił, gdyby pan Denver nie zawołał na mnie z korytarza. Podano właśnie drugie śniadanie. Przeszliśmy razem przez dziedziniec i ogród do willi. Zaczął żartować ze mnie w swój miły sposób... Zdaje mi się, że mnie lubił...

Zamilkł na chwilę.

— Wiem, że mnie lubił. Właśnie dlatego było to takie ciężkie. To taki zacny człowiek! Tego rana wziął mnie pod rękę... On się też odnosił do mnie z poufałością. — Jim zaśmiał się krótko i opuścił głowę na piersi. — Brr! Kiedy sobie przypomnę, jak ten podły wyskrobek do mnie mówił... — zaczął znów drżącym głosem. — Nie mogłem znieść siebie po prostu... Pan mnie chyba rozumie... — Skinąłem głową. — Pan Denver był dla mnie jak ojciec! — krzyknął; głos mu się załamał. — Byłbym musiał mu powiedzieć. Nie mogłem pozwolić, aby to dłużej trwało, niech pan sam powie.

— No więc? — szepnąłem po chwili.

— Woląłem odejść — rzekł z wolna — trzeba na tym położyć krzyżyk.

— Bardzo tu są przyzwoici w stosunku do mnie — rzekł Jim. — Blake trochę jest ordynarny, ale Egström to przyzwoity facet. — Podniósł się szybko i podszedł miarowym krokiem do teleskopu, który stał na trójnogu, zwrócony w stronę przystani. Przytknął do niego oko. — Oto właśnie ten statek, który od samego rana był unieruchomiony przez ciszę; dostał teraz wiatru i wjeżdża do portu — rzekł cierpliwie. — Muszę jechać na jego spotkanie.

Uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu i Jim zwrócił się ku drzwiom.

— Jimie! — krzyknąłem. Obejrzał się z ręką na klamce. — Pan... pan... to tak, jakbyś pan odrzucił majątek!

Wrócił do mnie ode drzwi.

— Taki kochany staruszek — rzekł. — Jakże ja mogłem? Jak mogłem... — Wargi mu drgnęły. — *Tutaj* to jest mi wszystko jedno.

— Doprawdy, pan jest... — zacząłem i szukałem odpowiedniego słowa, ale nim sobie zdałem sprawę, że nie ma wyrazu, który by się tu nadał, Jima już nie było.

Doszedł mnie głęboki, łagodny głos Egströma mówiący wesoło:

— To „Sarah W. Granger”, Jimmy. Niech pan się postara dostać pierwszy na pokład.

Zaraz potem wtrącił się Blake, skrzeczając jak wściekle kakadu:

— Powiedz pan kapitanowi, że mamy tu dla niego trochę listów. Weźmie się na to. Słyszysz pan, panie tego?

A Jim odpowiedział Egströmowi chłopięcym tonem:

— Dobrze, dobrze. Będzie to wyścig, co się zowie.

Miałem wrażenie, że Jim szuka pociechy w żeglarskich funkcjach swego marnego zawodu.

Nie zobaczyłem go już podczas tej podróży, ale gdy przejeżdżałem następnym razem (miałem kontrakt sześciomiesięczny), poszedłem znów do sklepu. Już z odległości dziesięciu jardów

doszło mnie wymyślanie Blake'a; gdym wszedł, rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, a Egström, cały w uśmiechach, zbliżył się, wyciągając wielką kościstą rękę.

— Jakże mi miło pana widzieć, kapitanie... szszsz... Tak też sobie myślałem, że pan będzie musiał tędy wracać. Co pan kapitan mówi? Szszsz... Aha, o niego panu chodzi? Opuścił nas. Niechże kapitan pozwoli do salonu... — Po zatrzaśnięciu drzwi wyteżony głos Blake'a osłabł i wydał się głosem człowieka wymyślającego rozpaczliwie na puszczy. — Naraził nas przy tym na okropne kłopoty. Muszę powiedzieć, że brzydko sobie względem nas postąpił...

— Dokądże on pojechał? Nie wie pan? — zapytałem.

— Nie. I nie warto pytać — rzekł Skandynaw o bujnych bokobrodach, stojąc przede mną uprzejmie z rękoma dyndającymi niezgrabnie u boków; cienki srebrny łańcuszek od zegarka zwisał nisko na jego pofałdowanej kamizelce z granatowego szewiotu

. — Tacy jak on nie jeżdżą w żadnym określonym kierunku. — Zbyt mnie obeszła usłyszana wiadomość, toteż nie zapytałem, co Egström ma właściwie na myśli, a on ciągnął dalej: — Opuścił nas... zaraz, niech sobie przypomnę... w dzień przyjazdu parowca wiozącego pielgrzymów wracających z Morza Czerwonego; śruba okrętowa miała dwa skrzydła złamane. Tak; trzy tygodnie temu.

— Czy nie było wówczas mowy o wypadku z „Patną”? — zapytałem, tknięty najgorszym przeczuciem.

Wzdrygnął się i spojrzał na mnie, jakbym był czarownikiem.

— Ależ tak! Skąd pan wie o tym? Kilku ludzi rozmawiało tu właśnie na ten temat. Było między nimi paru kapitanów, kierownik portowych warsztatów reperacyjnych Vanloo'a, jeszcze dwóch czy trzech innych ludzi, no i ja. Jim był tu także, jadł właśnie sandwicz i popijał piwem; bo widzi pan, panie kapitanie, kiedy wre robota, to nie ma czasu na porządny posiłek. Stał przy tym oto stole i jadł, a my wszyscy obstąpiliśmy teleskop, przyglądając się wjazdowi parowca; od słowa do słowa, kierownik warsztatów zaczął mówić o kapitanie „Patny”; naprawiał coś tam kiedyś dla niego. Potem rozpowiadał nam, jakie to było stare pudło, ta „Patna”, i ile z niej wyciągnęli pieniędzy. Wspomniał o jej ostatniej podróży, a potem już wszyscyśmy dokładali swoje. Jedni mówili to, drudzy owo, nie gadaliśmy znów tak wiele, to samo, co by pan albo każdy inny człowiek powiedział; było też trochę śmiechu. Kapitan O'Brien ze statku „Sarah W. Granger”, wielki, hałaśliwy starzec, siedział w tym oto fotelu z laską w rękę, przysłuchując się nam; nagle stuknął kijem w podłogę i krzyknął:

„Tchórze!” Podskoczyliśmy wszyscy. Kierownik warsztatów mruga na nas i mówi: „O cóż panu chodzi, panie kapitanie?” „Chodzi, chodzi! — zaczął krzyżeć stary. — Z czegoż wy się śmiejecie, dzikusy? To nie jest żaden powód do śmiechu. To hańba dla ludzkiego rodu, ot co! Tfu, nie chciałbym się znaleźć w pokoju z którymś z tych ludzi. Tak, mój panie!” Zdawało mi się, że oczy nasze się spotkały i musiałem przez grzeczność coś odpowiedzieć. „Tchórze — mówię — no tak, naturalnie, panie kapitanie, i ja sam nie chciałbym żadnego z nich mieć u siebie, więc też pan jest zupełnie w tym pokoju bezpieczny. Niechże się pan napije czegoś chłodnego”. „Dajże mi pan pokój, do diabła — mówi z błyskiem w oczach — kiedy mi się zechce pić, to sam krzyknę, żeby mi co dali. Idę sobie. Śmierdzi mi tutaj”. Wszyscy inni wybuchnęli na to śmiechem i dalejże wychodzić za starym. A wówczas, panie kapitanie, ten szelma Jim odkłada sandwicz, który trzymał w ręku, obchodzi stół naokoło i zbliża się do mnie. Na stole stała jego szklanka piwa, pełniutka, dopiero co nalana. „Odchodzę” — mówi ot tak sobie, po prostu...

„Od czegożże uciekasz, człowieku? — pytam. — Kto cię skrzywdził? Co cię stąd wypłasza? Mniej masz rozsądku niż szczur, bo one nie opuszczają dobrego okrętu. Gdzież się spodziewasz dostać lepsze miejsce? Ty taki, ty owaki...” Zzieleniał po prostu, słowo daję. „Nasz interes nie zatonie” — powiadam. Podskoczył, o, tak. „Żegnam pana — mówi, kiwając mi głową jak jaki lord. — Dobry z pana chłop, Egström. Daję panu słowo, gdyby pan znał moje powody, nie chciałby pan mnie mieć u siebie”. „To największe kłamstwo, jakie panu przeszło przez gardło — mówię — wiem lepiej od pana, co bym zrobił”. Tak mnie rozzłościł, że zacząłem się śmiać. „Jak to, więc pan nawet nie ma czasu wypić tej szklanki piwa? Et, śmieszny wariat z pana!” Nie mam pojęcia, co go napadło; zdawało się, że nie może trafić do drzwi; mówię panu, panie kapitanie, to było po prostu komiczne. Wziąłem i wypilem sam jego piwo. „No, jeśli panu tak się spieszy, piję za pana zdrowie pańskim własnym piwem — mówię — tylko zapamiętaj pan sobie moje słowa: jeśli pan będzie dalej tak sobie poczynął, przekona się pan wkrótce, że ziemia jest dla pana za mała, to wszystko”. Rzucił mi ponure spojrzenie i wybiegł z twarzą straszną jak noc.

Egström prychnął z goryczą i przeczesał jasny bak sękatymi palcami.

— Odtąd nie udało mi się już dostać człowieka, który by był do rzeczy. Nic, tylko same kłopoty i kłopoty... A czy mi wolno zapytać, gdzie pan się z nim spotkał, panie kapitanie?

— Był pomocnikiem na „Patnie” właśnie podczas tamtej podróży — rzekłem, poczuwając się do wyjaśnienia.

Egström zamarł na chwilę z palcami pograżonymi we włosach zaczesanych na bok i wreszcie wybuchnął.

— A kogóż to, u diabła, obchodzi?

— Pewnie, że nikogo — zacząłem.

— I co, u diabła, za ćwieka ma w głowie, żeby tak postępować? — Wepchnął nagle lewy bak do ust i stał w zdumieniu. — A to ci dopiero! — wykrzyknął. — Powiedziałem mu, że wkrótce powierzchni ziemi nie starczy dla jego wybryków!

Rozdział dwudziesty

Późnym wieczorem wszedłem do jego gabinetu, minawszy imponującą, lecz pustą salę jadalną oświetloną bardzo skąpo. W domu panowała cisza. Poprzedzał mnie ponury jawajski służący w starszym wieku, ubrany w swoistego rodzaju liberię złożoną z białej kurtki i żółtego sarongu; otworzył drzwi, zawołał zniżonym głosem: „O panie!”, i usunąwszy się na bok, znikł w tajemniczy sposób, jak duch, który się zmaterializował tylko na chwilę dla wykonania tej jednej usługi.

Stein odwrócił się z krzesłem i w tej samej chwili okulary podjechały mu wysoko na czoło, jakby je kto posunął. Powitał mnie swym spokojnym i żartobliwym głosem. Tylko jeden róg obszernego pokoju, róg, w którym stało biurko, był silnie oświetlony stojącą lampą o ciemnym kloszu, a reszta rozległego gabinetu gubiła się w niewyraźnym mroku, niby jaskinia. Wąskie półki, zastawione ciemnymi skrzynkami jednostajnego kształtu i barwy, biegły naokoło ścian na kształt ciemnego pasa szerokości jakich czterech stóp. Katakumby chrząszczów. Drewniane tabliczki wisiały nad nimi w nieregularnych odstępach. Światło sięgało jednej z tabliczek i słowo *Coleoptera*, wypisane złotymi literami, błyszczało tajemniczo wśród rozległej, mrocznej przestrzeni. Szklane skrzynki zawierające zbiór motyli stały trzema długimi rzędami na małych cienkonogich stoliczkach. Jedna z tych skrzynek, usunięta ze zwykłego miejsca, znajdowała się na biurku wśród podłużnych pasków papieru pokrytych drobnym pismem.

— Więc tak oto mnie pan zastaje — rzekł Stein. Jego ręka zawisła nad skrzynką, gdzie wspaniały motyl rozpościł samotnie ciemnobrązowe skrzydła o średnicy siedmiu cali lub więcej, z przedziwnymi białymi żyłkami i pysznym obramowaniem z żółtych plam. — Tylko jeden taki okaz mają w *waszym* Londynie — i to wszystko. Zapiszę ten zbiór memu rodzinnemu miasteczku. To częśćka mnie samego. Najlepsza.

Wychylił się z krzesła i oparłszy brodę o skrzynkę, wpatrywał się z natężeniem w motyla. Stałem za jego plecami.

— Cudowny — szepnął i zdawał się zapominać o mej obecności.

Historia Steina była ciekawa. Urodził się w Bawarii i jako dwudziestoletni młodzieniec brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym 1848 roku. Był mocno skompromitowany, ale udało mu się uciec; z początku znalazł schronienie w Trieście u biednego zegarmistrza, republikanina. Stamtąd udał się do Trypolisu z zapasem tanich zegarków na sprzedaż; początek ten nie był wspaniały, ale okazał się wcale szczęśliwy, ponieważ Stein napotkał w Trypolisie holenderskiego podróżnika, człowieka, o ile mi się zdaje, dość znanego, nie pamiętam, jak się nazywał. Ten to przyrodnik właśnie zaangażował go w charakterze niejako pomocnika i zabrał na Wschód. Podróżowali po archipelagu razem i oddzielnie, zbierając ptaki i owady, z jakie cztery lata lub więcej. Potem przyrodnik wrócił do kraju, a Stein, nie mając domu, do którego by mógł wrócić, został u pewnego starego kupca, z którym się spotkał uprzednio, podróżując po wnętrzu wyspy Celebes — jeśli można w ogóle powiedzieć, że Celebes ma wnętrze. Ów stary Szkot, jedyny biały, któremu pozwolono wówczas przebywać w tym kraju, był uprzywilejowanym przyjacielem władczyni państw Wajo. Słyszałem często Steina opowiadającego, jak stary kupiec, który był dotknięty lekkim paralizem jednej strony ciała, wprowadził go na dwór tubylczy; wkrótce potem drugi atak powalił ostatecznie starego. Był to ociążały człowiek o patriarchalnej białej brodzie i imponującej postawie. Wszedł na salę obrad, gdzie wszyscy radżowie, pangeranowie

i dowódcy byli zebrani wokoło królowej, otylej i pomarszczonej kobiety (bardzo swobodnej w mowie według słów Steina), spoczywającej na wysokim łożu pod baldachimem. Idąc powłóczył nogą i stukał kijem; chwyciwszy Steina za ramię, zaprowadził go prosto do łoża.

— Patrz, królowo, i wy, radzowie, oto mój syn — oświadczył stentorowym głosem. — Handlowałem z waszymi ojcami, a kiedy umrę, on będzie handlował z wami i waszymi synami.

Za pomocą tej prostej formalności Stein odziedziczył uprzywilejowane stanowisko Szkota i cały zapas jego towarów wraz z ufortyfikowanym domem na brzegu jedynej spławnej rzeki w kraju. Wkrótce potem stara królowa, tak swobodna w mowie, umarła i kraj ogarnęły zamieszki wzniecone przez różnych pretendentów do tronu. Stein przyłączył się do stronnictwa jednego z młodszych synów, tego samego, o którym po upływie trzydziestu lat nie mówił nigdy inaczej jak „mój biedny Mohammed Bonso”. Stali się obaj bohaterami niezliczonych walecznych czynów, spotykały ich nadzwyczajne przygody, a raz wytrzymali przez miesiąc oblężenie w domu Szkota, mając tylko dwudziestu ludzi przeciwko całej armii. Jestem pewien, że krajowcy mówią do dziś dnia o tej wojnie. A tymczasem Stein nie omieszkał nigdy dołączyć do swych zbiorów każdego motyla czy chrząszcza, który się dostał do jego rąk. Po jakichś ośmiu latach wojen, układów, fałszywych rozejmów, godzenia się, zdrad i tak dalej, właśnie w chwili gdy pokój zdawał się utrwalony na stałe, „biedny Mohammed Bonso” został zamordowany u wrót własnej królewskiej rezydencji, w chwili gdy zsiadał z konia w najweselszym usposobieniu, wróciwszy z świetnego polowania na jelenie. Wskutek tego wypadku pozycja Steina stała się niezmiernie niebezpieczna, ale mimo to byłby może w kraju pozostał, gdyby w krótki czas potem nie stracił siostry Mohammeda („mojej drogiej żony, księżniczki”, mawiał uroczyście), z którą miał córkę. I matka, i dziecko umarły w ciągu trzech dni na jakąś zaraźliwą gorączkę. Wówczas Stein opuścił kraj, którego nie mógł znieść po tej okrutnej stracie. Tak się zakończył pierwszy — pełen przygód — okres jego życia. To, co nastąpiło potem, było tak różne, że gdyby nie rzeczywistość bólu, który w Steinie pozostał, tamten dziwny okres mógłby mu się wydawać snem. Miał trochę pieniędzy; rozpoczął życie na nowo i w ciągu lat zdobył znaczny majątek. Z początku podróżował wiele między wyspami, ale później już wiek zaczął mu ciążyć; w ostatnich czasach opuszczał rzadko swój obszerny dom leżący o trzy mile za miastem w wielkim ogrodzie, wśród stajen, kuchen oraz bambusowych chat dla służby i licznych oficjalistów. Co rano Stein jeździł bryczką do miasta, gdzie miał biuro pełne białych i chińskich urzędników. Był właścicielem niewielkiej floty, złożonej ze szkunerów i statków krajowych i prowadził rozległy handel produktami z wysp. Poza tym żył samotnie, choć ludzi nie unikał, wśród swoich ksiąg i zbiorów, klasyfikując i preparując okazy, korespondując z entomologami w Europie, zestawiając opisowy katalog swych skarbów. Taka była historia człowieka, do którego się udałem po radę w sprawie Jima, nie mając żadnej określonej nadziei, ale czując, że już samo wysłuchanie tego, co Stein będzie miał do powiedzenia, przyniesie mi ulgę. Bardzo mi zależało na zdaniu Steina, lecz nie śmiałem się odezwać.

Szanowałem wyteżone, prawie namiętne skupienie, z jakim wpatrywał się w motyla, jak gdyby w brązowym lśnieniu kruchych skrzydeł, w białych arabeskach i wspaniałych wzorach dostrzegał i inne rzeczy, wizerunek czegoś, co jest równie znikome jak te delikatne i martwe tkanki, a tak jak one urąga zniszczeniu i roztacza przepych skażony śmiercią.

— Cudowny! — powtórzył, spoglądając ku mnie w górę. — Niech pan patrzy! Skończenie piękny; ale to jeszcze nic, proszę spojrzeć na tę dokładność, na tę harmonię. Jakie to delikatne! Jakie wyraziste! Jakie nieskazitelne! Oto przyroda, równowaga olbrzymich sił.

Każda gwiazda jest taka i każde źdźbło trawy stoi tak, i potężny Kosmos w doskonałej równowadze wydaje... to. Ten cud, to arcydzieło przyrody, wielkiego artysty.

— Nie słyszałem nigdy, aby entomolog tak się wyrażał — zauważyłem wesoło. — Arcydzieło! A co pan powie o człowieku?

— Człowiek jest zdumiewający, ale arcydziełem nie jest — rzekł, utkwivszy oczy w szklanej skrzynce. — Może artysta był trochę szalony. Co? Jak pan myśli? Zdaje mi się czasem, że człowiek zjawi się tam, gdzie go nie chcą, gdzie nie ma dla niego miejsca; bo jeśli tak nie jest, to czemu żąda dla siebie całej ziemi? Czemu biega w kółko tu i tam, robiąc naokoło siebie wiele hałasu, czemu rozprawia o gwiazdach, przeszkadza źdźbłom trawy?...

— Łowi motyle — podsunąłem w tym samym tonie.

Uśmiechnął się, rozparł w fotelu i wyciągnął nogi.

— Niech pan siada — rzekł. — Schwyciłem własnoręcznie ten rzadki okaz pewnego bardzo pięknego ranka. A było to dla mnie bardzo wielkie wzruszenie. Pan nie wie, czym jest dla zbieracza schwytanie takiego rzadkiego okazu. Pan tego wiedzieć nie może...

A jakież dobre wieści pan mi przynosi?

— Jeśli mam wyznać prawdę — rzekłem z wysiłkiem, który mnie zdziwił — przyszedłem, aby panu opisać pewien okaz...

— Motyla? — zapytał z niedowierzaniem i żartobliwym zapałem.

— Coś daleko mniej doskonałego — odrzekłem, czując nagle, że tracę odwagę, ogarnięty różnymi wątpliwościami. — Człowieka!

— Ach tak! — szepnął; uśmiechnięta jego twarz zwrócona ku mnie spoważniała. Popatrzył na mnie przez chwilę i rzekł powoli: — No, ja także jestem człowiekiem.

Oto go macie całego; tak szczerze umiał dodawać ducha, że człowiek delikatny skłonny był zawahać się u progu zwierzeń; ale jeśli się zawahałem, nie trwało to długo.

Wysłuchał mnie, siedząc z nogą założoną na nogę. Niekiedy głowa jego zniknęła zupełnie w wielkim kłębie dymu i współczujące pomruki dobywały się z tego obłoku. Kiedy skończyłem, Stein wyprostował nogi, odłożył fajkę, pochylił się ku mnie poważnie i oparł łokciami o poręcz krzesła, złączywszy czubkami palców obie ręce.

— Rozumiem bardzo dobrze. To jest romantyk.

Postawił diagnozę, która zaskoczyła mnie swoją prostotą. Nasza narada była zupełnie podobna do konsultacji u doktora; Stein, wyglądający na uczonego, siedział przed biurkiem w fotelu, a ja w drugim naprzeciwko, trochę z boku, tak że z całą naturalnością nasunęło mi się pytanie:

— Co na to poradzić?

Podniósł długi palec wskazujący:

— Tylko jeden jest na to środek. Jedna jedyna rzecz może uleczyć nas od samych siebie.

Palec opadł na biurko i stuknął głośno. Sprawa, która w oświetleniu Steina wydawała się przedtem taka prosta, stała się, o ile to możliwe, jeszcze prostsza — i zupełnie beznadziejna. Zapadła cisza.

— Tak — rzekłem — ale ściśle biorąc, nie o to chodzi, jak się wyleczyć, tylko jak żyć.

Skinął potakująco głową, wydało mi się, że trochę smutno.

— *Ja, ja!*

W ogóle, według słów waszego wielkiego poety: „Oto jest pytanie...” — Kiwał wciąż głową ze współczuciem: — Być? Ach! ale jak?

Podniósł się, trzymając końce palców na biurku.

— Chcielibyśmy żyć tak rozmaicie — zaczął znowu. — Ten przepyszny motyl znajdzie małą kupkę nawozu i siedzi na niej spokojnie; ale człowiek nie wytrwa nigdy spokojnie na swojej kupce błota. Chce być to tym, to znów owym... — Podniósł rękę i opuścił ją. —

Chce być świętym i chce być diabłem, a za każdym razem, gdy zamknie oczy, widzi siebie w bardzo udanej postaci, widzi siebie tak doskonałym, jakim nigdy być nie może... W marzeniu...

Opuścił szklane wieko, automatyczny zamek dźwięknął ostro; Stein wziął skrzynkę oburącz i odniósł ją z religijną czcią na miejsce, przechodząc z jasnego koła lampy do kręgu słabszego światła i ginąc wreszcie w niewyraźnym zmroku. Sprawilo to dziwne wrażenie, jakby tych kilka kroków wywiodło go poza nasz konkretny i zagmatwany świat. Wysoka, niby odcielesniona postać Steina unosiła się bezszelestnie wśród niewidzialnych przedmiotów, pochylając się nieokreślonym ruchem. Dostrzegało się go z daleka, zajętego tajemniczo niematerialnymi sprawami, a głos jego tracił dobitność, zdawał się toczyć, silny, poważny, złagodzony przez oddalenie.

— A ponieważ nie zawsze można zamykać oczy, rodzi się najprawdziwsza troska, ból serca, ból świata. Mówię panu, kochany przyjacielu, niemiło się przekonać, że człowiek nie może urzeczywistnić swego marzenia, bo ma za mało sił albo za mało zdolności. *Ja!... A przy tym człowiek widzi siebie zawsze w tej wymarzonej postaci. Wie? Was? Gott im Himmel!*

Jakże to może być? Cha, cha, cha!

Cień myszkujący wśród motyli grobów zaśmiał się hałaśliwie.

— Tak! Ta straszna rzecz jest bardzo zabawna. Człowiek, który się rodzi, wpada w marzenie, jak się wpada do morza. Jeżeli usiłuje się wydostać — a robią to niedoświadczeni — topi się, *nicht wahr? ...*

Nie! mówię panu! Jedyne sposoby to poddać się niszczącemu żywiołowi i wysiłkami rąk i nóg sprawić, że głębokie, głębokie morze utrzyma człowieka. Więc jeśli pan mnie zapyta: jak żyć? — Podniósł głos z niezmierną siłą, jak gdyby czyjś podszept zesłał mu, tam w mroku, natchnienie. — Powiem panu! Na to jest także tylko jedna rada.

Szurając śpiesznie pantoflami, zamajaczył w kręgu słabego światła i nagle ukazał się w jasnym kole lampy. Jego wyciągnięta ręka celowała w moją pierś jak pistolet; głęboko osadzone oczy zdawały się na wskroś mnie przenikać, lecz drgające wargi nie wymówiły ani słowa, a z twarzy znikło surowe uniesienie wywołane pewnością, którą ujrzał w mroku. Ręka godząca w moją pierś opadła; zbliżywszy się o krok, położył mi łagodnie dłoń na ramieniu. Są rzeczy — rzekł pośpennie — które może nigdy nie dadzą się wypowiedzieć... — ale on, Stein, tyle czasu przeżył samotnie, że czasem zapomina o tym, zapomina. Światło lampy zniszczyło pewność, którą go natchnął odległy mrok pokoju. Usiadł i tarł czoło, oparłszy się łokciami o biurko.

— A jednak to jest prawda, to jest prawda. Zanurzyć się w niszczącym żywiole... — Mówił stłumionym głosem, nie patrząc na mnie, ująwszy twarz w obie dłonie. — To jedyna właściwa droga. **Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem** — i tak *ewig usque ad finem*...

Jego szept pełen przekonania zdawał się otwierać przede mną rozległą, nieokreśloną przestrzeń, niby widnokrąg mrocznej równiny o świcie, a może o zmierzchu? Nie miałem odwagi rozstrzygnąć; lecz to czarowne, zwodnicze światło zasnuwało nieuchwytną mglistą poezją wilcze doły i groby. Życie Steina zaczęło się od entuzjazmu, od poświęcenia dla szlachetnych idei; odbywał dalekie podróże po różnych szlakach, po dziwnych ścieżkach, a cokolwiek zamierzył, wykonywał bez wahania, zatem bez wstydu i żalu. Pod tym względem miał słuszność. Jest to niewątpliwie najlepszy sposób postępowania. A jednak mimo wszystko, owa wielka równina, po której ludzie wędrują wśród grobów i wilczych dołów, wyglądała bardzo smutno w tym półcieniu pełnym nieuchwytną poezji. Mroczna pośrodku, o krańcach rozświetlonych, była jakby otoczona przepaścią pełną płomieni. Przerwałem wreszcie ciszę, aby wyrazić przekonanie, że nikt nie może być większym romantykiem od niego, Steina.

Potrząsnął z wolną głową, a potem spojrział na mnie cierpliwym i badawczym spojrzeniem.

— To wstyd doprawdy — powiedział. — Oto siedzimy i gadamy jak dwa dzieciaki zamiast się skupić i wynaleźć coś praktycznego — jakiś praktyczny środek... przeciw złu... przeciw wielkiemu złu — powtórzył z żartobliwym i wyrozumiałym uśmiechem.

Mimo to jednak rozmowa nasza nie stała się „praktyczniejsza”. Staraliśmy się nie wymawiać imienia Jima, jak gdyby usiłując wyłączyć z rozmowy wszystko, co realne, i jakby Jim był tylko błędnym duchem, cieniem cierpiącym i bezimiennym.

— *Na!* — rzekł Stein, wstając. — Przenocuje pan u mnie, a jutro rano uradzimy coś praktycznego, bardzo praktycznego...

Zapalił dwuramienny świecznik i poszedł naprzód. Mijaliśmy puste, ciemne pokoje, odprowadzani przez błyski padające od światel niesionych przez Steina. Ślizgały się po woskowanych posadzkach, muskając tu i ówdzie gładką powierzchnię stołu, niekiedy zalśniły na wygiętym fragmencie jakiegoś mebla lub błysnęły prostopadle w odległych lustrach, a

postacie dwóch mężczyzn i migot dwóch świec ukazywały się na chwilę, sunąc bezgłośnie przez głębie kryształowej pustki. Stein szedł powoli o krok przede mną, uprzejmie pochylony. W jego twarzy był głęboki, jakby zasłuchany spokój; długie lniane pukle przetkane białymi niemi wiły się z rzadka po nieco zgiętym karku.

— On jest romantykiem, tak, romantykiem — powtórzył. — A to bardzo źle... bardzo źle... Ale i bardzo dobrze — dodał.

— Czyżby z niego był naprawdę romantyk? — zapytałem.

— *Gewiss* — odrzekł i przystanął, wznosząc kandelabr, ale nie spojrzał na mnie. — Oczywiście. Czymże jest to, co przez wewnętrzny ból zmusza go do poznania samego siebie? Czym jest to, co sprawia, że on dla pana i dla mnie istnieje?

W owej chwili trudno mi było uwierzyć w to istnienie Jima, które się wywodziło z wiejskiego probostwa, przesłonięte tłumem ludzi jakby kłębami pyłu i zagłuszone przez sprzeczne żądania życia i śmierci na tym zmaterializowanym świecie. Lecz jakaś inna, niezniszczalna rzeczywistość tego człowieka nagle stanęła przede mną z przekonującą, z nieodpartą siłą. Ujrzałem ją żywo, jakbyśmy, posuwając się tak przez wysokie, ciche pokoje wśród przelotnych błysków światła i nagłych zjawiań się ludzkich postaci, skradali się z pełgającymi płomykami przez niezmierzone, przejrzyste głębie, jakbyśmy się zbliżali do absolutnej Prawdy, która — tak jak Piękno nieuchwytna i niepojęta — pływa po spokojnych, cichych wodach tajemnicy, na wpół w nich pogrążona.

— Być może Jim jest romantykiem — przyznałem z lekkim śmiechem, który rozbrzmiał nadspodziewanie głośno, tak że zniżyłem głos natychmiast — ale pan to jest nim z wszelką pewnością.

Ruszył znów naprzód z głową spuszczoną na piersi, trzymając świecznik wysoko.

— Przecież ja także istnieję — powiedział.

Szedł przede mną. Śledziłem jego ruchy, ale nie widziałem w nim szefa firmy, pożądanego gościa popołudniowych zebrań, korespondenta uczonych towarzystw, gospodarza podejmującego wędrownych przyrodników; widziałem tylko istotę jego przeznaczenia, za którym umiał iść pewnym krokiem — to jego życie rozpoczęte wśród skromnych warunków, bogate w szlachetny zapach, w przyjaźń, miłość, walkę, we wszystkie sławione pierwiastki romantyzmu. U drzwi mego pokoju zwrócił się ku mnie.

— Tak — rzekłem, jakby prowadząc w dalszym ciągu rozmowę — a oprócz innych marzeń zapragnął pan namiętnie pewnego motyla; gdy zaś w piękny poranek marzenie to zaszło panu drogę, chwycił pan w lot wspaniałą sposobność. Prawda? Podczas gdy on...

Stein podniósł rękę.

— A czy pan wie, ilu sposobnościom pozwoliłem uciec, ile utraciłem marzeń, które zaszły mi drogę? — — Pokiwał głową z zalem. — Zdaje mi się, że niektóre z nich byłyby bardzo piękne, gdybym je umiał urzeczywistnić. Wie pan, ile ich było? Może i ja sam nawet nie wiem.

— Czy marzenia Jima piękne były, czy nie — odrzekłem — pamięta on na pewno o jednym, którego nie pochwycił.

— Każdy z nas pamięta o paru takich — powiedział Stein — i to właśnie sprawia przykrość, wielką przykrość...

Podał mi rękę na progu i rzucił wzrokiem w głąb pokoju pod swym wzniesionym ramieniem.

— Niech pan dobrze śpi. A jutro musimy uradzić coś praktycznego, bardzo praktycznego...

Chociaż sypialnia Steina znajdowała się za moją, zobaczyłem, że szedł z powrotem tą samą drogą. Wracał do swoich motyli.